Nr. 29. Poznań, Niedziela 21. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚC.

Związek Towarzystw Przemysłowych.
Polityka: Obrachunki polityczne. — Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego p. -ski. — Przegląd prasy słowiańskiej p. D. K.
Literatura i sztuka: Wystawa obrazów w teatrze polskim II p. W. R. — Podpalacz (wiersz) p. Probierczyka. — Bohaterowie a poeci p. W. Jabłonowskiego.
Życie społeczne: Niemcy w oczach francuzkich p. A. Langego. — Młoda Polska p. S. Z. Dańskiego.
Feljeton: Na Wyłomie, przez Sullę.
Kronika literacka.
Kronika powszechna.
Odpowiedzi redakcyi
Składki.
Odcinek: Engelke p. Svena Langego. (Ciąg dalszy.) — Ostatnia noc skazanego p. Rosenegera.

Związek Towarzystw Przemysłowych.

W tłumie Towarzystw polskich, rozrzuconych po całym zaborze pruskim, uczuć się daje jakieś parcie dośrodkowe, łączące w łańcuch liczne ogniwa i grupujące rozstrzelone siły i organizacyjne jednostki około wspólnego, kierującego *milieu.* Ten prąd centralizacyjny znajduje swą logiczną i psychologiczną podstawę w coraz intenzywniejszem wciskaniu się germanizmu, — jego handlu, przemysłu, rolnictwa, biurokracyi, szowinizmu i gwałtów zaborczych — do dzielnic kresowych. Stworzyła go potrzeba przeciwdziałania niemieckim klinom, rozsadzającym społeczeństwo, i nadużyciom prowincyonalnych działaczy pruskich, - spowodowało uczucie bezsilności rozsypanych warowni życia naszego, pozbawionych niejednokrotnie umiejętnego kierownictwa i narażonych wskutek tego na senną wegetacyę bez wyraźnych celów, wpływów i czynów. Tak na zewnątrz — w obronie ekonomicznych i narodowych interesów kraju naszego, przeciw zalewowi germanizmu, — jak na wewnątrz w obronie pojedyńczych organizacyi przeciw nieumiejętności, apatyi lub fałszywym dążeniom grup i kierowników, ujawniła się energicznie konieczność silnie zorganizowanej opieki nad Towarzystwami polskiemi, — opieki, któraby nietylko rozwój istniejących Towarzystw popierała, lecz wpływani swojemi i pracą rozumną nowe ogniska życia zbiorowego powołała do życia. Taka wyższa organizacya stowarzyszeń pojedyńczych nie jest bynajmniej nowem zjawiskiem społecznem, lecz tylko świeżą i poprawną edycyą owych związków miast, czeladników i cechów, o których rozwoju świadczą dzieje średniowiecznej kultury. W Niemczech w ostatnim lat dziesiątku liczba związków okręgowych stowarzyszeń przemysłowo-rzemieślniczych, — mianowicie w Badenii, Bawaryi i Wyrtembergii, — urosła z zadziwiającą szybkością, a od roku 1891 istnieje nadto powszechny, centralny „Związek niemieckich stowarzyszeń przemysłowych.“ Dla Towarzystw kupieckich zorganizowano w Czechach „Ustředni spolek českych kupcu,“ a w Niemczech „Deutscher Verband Kaufmännischer Vereine.“ Podobnych związków zawodowych, n. p. stowarzyszeń krawieckich i szewskich, znaleść można sporo w Czechach, Austryi i Niemczech, a oprócz tego nie mało przykładów wyższej organizacyi stowarzyszeń, leżących po za właściwą sferą społeczno-gospodarczą, n. p. związków towarzystw gimnastycznych i muzycznych. Wszędzie — jak świadczą urzędowe sprawozdania — centralizacya wykazać się może całym szeregiem doniosłych korzyści, — wszędzie jest ona rozsadnikiem bujnego życia i tarczą obronną dla interesów zawodowych, klasowych lub narodowych.

I u nas na obszarach zaboru pruskiego potrzeba wyższej organizacyi Towarzystw zapukała silnie do bram społeczeństwa, i oto — pomijając patronat Kółek włościańskich — powstały w ostatnich latach życia naszego związki stowarzyszeń śpiewackich i gimnastycznych (sokolich). Fakt ten jest o tyle charakterystycznym, że dwa te związki wyprzedziły centralizacyą starszych Towarzystw przemysłowych i kupieckich, które w innych krajach kroczą na czele ruchu dośrodkowego, a dla rozwoju narodowego posiadają głębszą może niż pierwsze doniosłość. Od r. 1874 począwszy i tu jednak dążenia centralizacyjne pojawiały się w najrozmaitszej formie. Już przed 21 laty wybrano generalną „Radę przemysłową“ w Gnieźnie, a w dwa lata później zapadła w Kościanie uchwała, aby utworzyć „patronat przemysłowy.“ Wybrany jednak patronem ks. Wawrzyniak niebawem złożyć musiał swój urząd na rozkaz władzy duchownej i nastąpiła długa przerwa w mozolnej pracy około wyższej organizacyi stowarzyszeń. Dopiero w r. 1887 pojawia się cenna broszurka *Franciszka Degórskiego* p. t. „Stanowisko prawne naszych Towarzystw“ i usuwając wątpliwości prawne, wytaczane przez żywioły nieprzychylne idei Związku, staje się pośrednio i może mimo woli autora na Zjeździe przemysłowców polskich w Poznaniu (1887) hasłem centralizacyi. W 5 lat później posunięto sprawę o tyle naprzód, że na kongresie przemysłowym uchwalono peryodyczne zwoływanie Zjazdów przemysłowych w dwuletnich odstępach i odbywanie Zjazdów prezesów. — Wreszcie dzięki energicznym i niezmordowanym usiłowaniom mecenasa Czypickiego z Koźmina i mecenasa Moczyńskiego z Bydgoszczy uchwalono w zasadzie na ostatnim Zjeździe przemysłowym w Poznaniu, odbytym 14 i 15 lipca r. b. założenie „Związku Towarzystw Przemysłowych w W. Ks. Poznańskiem.“

Dyskusya poniedziałkowa sprawie tej poświęcona jest nader ciekawym przyczynkiem do historyi stosunków naszych. Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że kwestya „Związku“ stanowi już od kilku lat w prasie poznańskiej temat zaciętej polemiki i że ogniskiem najtwardszej opozycyi są Towarzystwa przemysłowe Poznania, Inowrocławia, Jarocina i Ostrowa; przeciwnicy „Związku“ wystąpili na poniedziałkowem posiedzeniu w znacznej liczbie i z obfitym zasobem kontrargumentów, a walczące obozy w ostatecznem głosowaniu wykazały tylko 37 Towarzystw *za,* 21 *przeciw* Związkowi. Była nawet chwila, w której zanosiło się na burzę wielkich rozmiarów, gdy dr. Roszkowski z Lipska, rozgoryczony silną opozycyą, zaczął operować zarzutami tchórzostwa, zdrady itd. Przeciwnicy Związku wysuwali przedewszystkiem straszaka policyi i rządu, starali się uzasadnić bezcelowość wyższej organizacyi, apoteozowali ustrój dotychczasowy i wyrażali obawę, czy Towarzystwa zechcą płacić roczne składki do kasy Związkowej, — czuć jednak było w wielu przemówieniach jakąś myśl ukrytą, jakiś argument niewypowiedziany, a odgrywający w całej dyskusyi rolę dominującą. Tym utajonym fermentem była niewątpliwie rola duchowieństwa w obec Towarzystw przemysłowych. Pierwszy „Orędownik“ sprawie tej poświęcił kilka poważnych uwag, wypowiadając odważnie twierdzenie, że opozycya lęka się przedewszystkiem, aby Związek nie spotęgował i nie utrwalił hegemonii duchowieństwa w życiu Towarzystw naszych.

W obec ultraklerykalnej polityki „Kuryera Pozn.“, dążącej niedwuznacznie do opanowania wszystkich ognisk zbiorowej działalności, — w obec tendencyi organu duchowieństwa, aby ster życia publicznego oddać bez zastrzeżeń w ręce kleru, — w obec wyraźnej dążności, „aby pozbyć się zacietrzewienia narodowego i na sprawy narodowe patrzeć jedynie przez pryzmat katolicki“, — w obec bezustannych twierdzeń, że nie ma tam „błogosławieństwa bożego“, gdzie nie ma „auspicyi duchowieństwa“, — z dnia na dzień rosła obawa, że kler ująwszy w ręce cugle centralizacyi przemysłowej, zatamuje dotychczasowy samodzielny rozwój Towarzystw i na fałszywe sprowadzi je drogi. Z drugiej strony jednak — rzecz dziwna! — zwolennikom Związku przyświecała wręcz przeciwna nadzieja. Najpoważniejsi obywatele wypowiadali w prywatnych kółkach przekonanie, że „Związek“ położy skuteczną tamę rosnącym wpływom duchowieństwa w Towarzystwach przemysłowych, a w przekonaniu tem utwierdzał ich fakt, że właśnie najwybitniejsi reprezentanci dążeń hegemonicznych kleru okazywali niedwuznacznie wyraźną niechęć dla „Związku“. Tu i tam zatem jednym z najpoważniejszych motywów agitacyjnych stała się obawa przed hegemonją duchowieństwa, — różnica polegała tylko na tem, że pierwsi upatrywali w „Związku“ ułatwienie tej hegemonii, drudzy natomiast środek zaradczy przeciw klerykalnym zakusom. Ciekawym przyczynkiem do ilustracyi utajonych sprężyn stały się końcowe sceny gorącej kampanii poniedziałkowej: Otóż przy wyborze zarządu zauważył ks. patron Wawrzyniak, że proponowana lista jest w ogóle

niemożliwą do przyjęcia, bo nie ma na niej ani jednego księdza. Wtedy to ozwały się propozycye, aby do zarządu powołać ks. Wawrzyniaka i ks. Stychla, lecz kandydatury te skłoniły natychmiast kilku zwolenników „Związku“ do postawienia wniosku, aby wybór zarządu odroczyć i dalsze losy organizacyi powierzyć Wydziałowi. Epilogiem charakterystycznej sceny stało się pożegnalne przemówienie ks. Wawrzyniaka, które według referatu „Dziennika Pozn.“ zawiera następujące myśli:

„Niech was to, Panowie Przemysłowcy — mówił ksiądz Patron — nie dziwi lub nie razi, że na tym zawodowym Zjeździe waszym nie tylko powitał was kapłan, ale i żegna was kapłan. Co do mnie, to cieszę się szczerze, że nadarzyła się sposobność wyświecenia naszego stosunku do prac publicznych społeczeństwa naszego. Bądźcie przekonani, że i my, kapłani, niczego więcej nie pragniemy, jak tego, aby pomoc nasza jak najrychlej w tej pracy społeczeństwa, a zwłaszcza warstwom społecznym (?) stała się zbyteczną, abyśmy znów wszelkie siły nasze poświęcić mogli ołtarzowi i służbie Bożej. Dziś atoli, gdy staczacie bój zacięty nie tylko o byt narodowy, ale i o byt materyalny, gdy siły wasze są jeszcze słabe i rozbite, dziś nie wolno nam usuwać się od obowiązków publicznych, dziś jak w owych czasach odbudowania Jerozolimy, stać musimy wraz z wami, z mieczem w jednej a z kielnią w drugiej dłoni...

...To też dopóki ta walka trwać będzie, dopóki panowie z pośród siebie nie wydacie *zdolnych ludzi, światłych przywódzców w dostatecznej liczbie, dopóki sami obronić się nie zdołacie*, duchowieństwo zawsze wam pomagać będzie, ale usunie się chętnie do prac właściwych stanu swego, gdy już pomocy naszej potrzebować nie będziecie. Oto cała tajemnica stosunku naszego do pracy waszej.“

Cel tego zręcznego przemówienia jest jasnym. Podziałać ono miało, jak oliwa na wzburzone fale, i utorować duchowieństwu drogę do Zarządu.

Jakiemi będą dalsze losy Związku, tego dziś jeszcze przesądzać nie śmiemy. Zdaje nam się jednak, że skrupuły przeciwników organizacyi wtedy tylko miałyby racyę bytu, gdyby Towarzystwa przemysłowe nie posiadały dość odwagi oprzeć się hegemonii kleru. Nie są to argumenty przeciw idei centralizacyi, ile raczej przeciw sklerykalizowaniu Związku, które uważamy za *możliwość*, nie poczytujemy jednak za *konieczność*.

Nie odsuwając duchowieństwa od udziału w pracach obywatelskich, pragniemy gorąco, aby Towarzystwa nasze zatrzymały swój dotychczasowy charakter świecki i rządy swoje jedynie takim powierzały kierownikom, którzy wolni są od wpływów obecnej polityki kościelnej; niezależni bezpośrednio od władzy duchownej i upatrujący w idei narodowej nie drugorzędny, lecz pierwszy cel wszelkich działań zbiorowych. Wyjaśniliśmy kilkakrotnie konieczność takiego rozdziału nie w imię liberalnych uprzedzeń do kleru naszego, lecz w imię narodowego dobra, które strzedz nam trzeba czujnie z uwzględnieniem rozlicznych ewentualności politycznych. Idea ta zdobywa sobie coraz liczniejszych zwolenników, a duch przenikający dyskusye poniedziałkowe, jest wymownem świadectwem, że większość przemysłowców naszych posiada dość siły i odwagi, aby nową warownią życia polskiego ustrzedz przed zwycięztwem Kuryerowych zakusów i dążeń. Być może, że koło organizacyi związkowej wrzeć będzie walka zacięta, — być może, że świeckość Związku stanie się przedmiotem intryg i napaści, ale wierzymy silnie, że w chwili obecnej, gdy stronnictwo Kuryerowe wystąpiło *bez maski*, gdy rzucono głośne hasła zdegradowania narodowości na korzyść Kościoła, gdy świeckim rządom odmówiono błogosławieństwa bożego, — opozycya wzrosła, krótkowidze przejrzeli i sprawa nasza zyskała tysiące nowych i świadomych obowiązków swoich szermierzy.

POLITYKA.

Obrachunki polityczne.

(I. Rosya wobec Polski).

Pod powyższym tytułem wydał jeden z publicystów warszawskich broszurkę, w której zastanawia się nad położeniem Polaków pod wszystkiemi zaborami, a szczególniej pod zaborem rosyjskim. Książka ta wyszła w Krakowie nakładem Anczyca i Sp. W krótkości streścimy jej zawartość. Autor zaznacza, iż car nie spełnił pokładanych w nim nadziei, dalej słusznie zwraca uwagę, iż sfery rządzące nie są wcale ciekawe tego, co my możemy czuć lub czego chcieć. Trafnie też określa motywa, jakiemi się powodują urzędnicy państwowi — pierwszy u nich interes osobisty, później zaś dopiero idzie państwo, ztąd owa chęć utrzymania stanu naprężonego. Po takim wstępie autor zastanawia się nad fałszywym systemem stosowanym do nas i takie stawia twierdzenia:

Rosyanom nie chodzi bynajmniej o zjednoczenie państwowe Polski z Rosyą, ale o *ujednostajnienie* i to nietylko *ujednostajnienie* polityczne, ale *społeczne, religijne*, a nawet, że tak powiemy, *naturalne*. Język polski uważają za taki wrogi, że usiłują go wyprzeć ze wszystkich zakątków życia, ścigając go wszędzie. Urzędnikowi nie wolno przemówić po polsku, jeżeli nie chce na razić się na dymisyą, — dzieci polskie uczą się języka polskiego po rosyjsku, a z tego wszystkiego widocznem jest, że pragną nas przetworzyć na Wielkorosyan. Prawosławie szerzą i duchowni i urzędnicy w okolicach najrdzenniej polskich i katolickich, dążąc na tej drodze do zupełnego wynarodowienia. W długim ciągu dziejów nie zna historya jednak ani *jednego faktu*, aby naród, mający przeszłość dziejową, kulturę i świadomość własnej odrębności, dał się wynarodowić. Przytoczyć można wiele dowodów, że nie ma potęgi, któraby zdołała złamać oporność narodu, nie ma środka ani w fizyce ani w chemii politycznej, któryby był w stanie przekształcić społeczeństwo wbrew historyi, tradycyom i warunkom przyrodzonym.

Turcy nie przebierali w środkach do ujednostajnienia ludów pokonanych, prawo tworzyła samowola muzułmańska, zdołano nawet mahometanizm narzucić części ludności, a jednak po długich wiekach Bułgarya okazała się Bułgaryą, Serbia — Serbią, Grecya — Grecyą. Zdawało się, że po Białogórze Czesi tak są pognębieni, iż muszą zginąć w morzu zalewającej niemczyzny. Biblioteki czeskie oddano na pastwę płomieniom, elementarz czeski był zbrodnią, narodowość czeska poniżona i wyśmiana. I cóż Niemcom przyniosły te kosztowne wysiłki? Nic, prócz zawodu.

Jeszcze więcej pouczająca jest historya wynaradawiania Irlandyi. Ogień, miecz, ruina, konfiskata, demoralizacya — wszystko było stosowane z surowością bezprzykładną. Ogładzano ją, ogłupiano, wydarto język większej części narodu, i cóż Anglia osiągnęła? Nic, krom wstydu za swe postępki.

To samo dzieje się z Polakami: przez lat czterysta opierał się lud szląski powodzi niemieckiej, nie dzięki świadomemu poczuciu narodowej odrębności, ale żywiołową siłą bezwładności, jak Bułgarzy, Czesi, Irlandczycy. Zapuszczała niemczyzna zagony w ziemie wielkopolskie i pruskie, licząc na wyjątkowo przyjazne warunki naturalne, więcej im sprzyjające aniżeli Anglikom w Irlandyi, Niemcom w Czechach. Tymczasem czy germanizacya jest chociażby w jednym powiecie faktem dokonanym? Profesor uniwersytetu berlińskiego Böckh na podstawie danych urzędowych obliczył, że żywioł niemiecki w ciągu lat 29 (1861—1890) stał się w Prusach Zachodnich i Poznańskiem

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

W tem miejscu Bergström umyślnie przerwał czytanie, chcąc widzieć, jakie wrażenie na nich wywiera; zauważył, że Engelke schyliła się ku niemu, twarz swą rozpaloną tak silnie przycisnęła do jego głowy, że uczuł ból prawie, a przytem słyszał silne i przyspieszone bicie jej serca. Jak ją to zajmowało!

Uścisnął jej rękę.

— Tak, zaraz będzie najważniejsze — rzekł — tylko proszę nie zaglądać! — i czytał dalej:

— Nasze przypuszczenia co do pastora tutejszego sprawdziły się: jest nim rzeczywiście Sören Hausen, nasz przyjaciel dawniejszy. Jest on obecnie zagorzałym misyonarzem, w najgorszym gatunku.

— Muszę tu uczynić uwagę — przerwał Bergström — że osądza on Sörena za jednostronnie, ze stanowiska prawdziwego snoba, jakim jest w głębi duszy.

Poczem czytał dalej:

— W okręgu tutejszym panuje on, w dosłownem znaczeniu tego słowa, nad kilkuset owieczkami, które we wszystkiem mu są posłuszne; dzięki swej bezwzględności, będącej jedyną jego siłą, potrafił dojść do takiej nad niemi władzy bez granic. Jak wiadomo, trzymali się dotychczas księża od wszelkiej akcyi politycznej z daleka, — lecz teraz nastąpiła w tym względzie wielka zmiana, a może tylko wyjątkowo w tej okolicy. Zauważono, że pastor tutejszy wielce interesował się wyborami; widziano jego przewielebność na wszystkich zgromadzeniach przedwyborczych, gdzie nawet kilka interpelacyi sobie pozwolił. Najciekawszej interpelacyi oczekiwano w dniu wyborów, lecz dnia tego już nie przybył, a to z następującego powodu:

Na dwa, najdalej trzy dni przed wyborami zjawił się u Nörgaarda pastor Sören Hausen, w chwili, gdy tenże zatopiony był w pracy o szerzącej się demoralizacyi, którą to pracę przygotowywał już do następnego przemówienia. Towarzyszyło mu kilku „świętych“ z jego grona, których szaty, dziwnego kroju, musiały chyba z nieba pochodzić i tam przez podrzędnego jakiegoś krawca być zrobione, — na ziemi nie znalazłby się taki, nawet w Söllerup. Z uprzejmą miną prosi czarny ów kapłan przyjaciela naszego Nörgaarda, by zechciał im raz jeszcze program swój wyłuszczyć, znaleźli bowiem w nim punkta nie dość dla nich jasne. — chcieliby zatem z jego ust wytłomaczenie usłyszeć. Nörgaard chętnie przystaje, i pokrótce powtarza to, co w programie swoim był umieścił. Sören słucha go z poważną miną człowieka dyplomatycznie przystępującego do rzeczy. Spojrzenie jego badawczo przesunęło się po twarzy Nörgaarda, błysnęło — na ustach przewinął się uśmiech, który znikł natychmiast. Gdy Nörgaard skończył, wyjął on, niby w odpowiedzi na te słowa, list jakiś, powoli go rozwinął i głośno odczytywać począł. Słów listu dokładnie nie pamiętam, lecz jego treścią fatalną było mniej więcej to, że bohater nasz, ten mąż cnotliwy, pewną młodą, niewinną dziewczynę uwiódł, a następnie opuścił. Po przeczytaniu listu, złożył go Sören napowrót, przyczem bacznie obserwował grzesznika, a jego czarni towarzysze czynili to samo; zapanowało złowrogie milczenie....

Tu znowu przerwał Bergström.

— No cóż? — spytał tryumfująco doktora.

— Nemezys, nemezys! — wykrzyknął Pauli.

Ale cóż dalej?

Sytuacya stała się w najwyższym stopniu niemiłą, lecz Nörgaard mógłby ją był uratować jeszcze, gdyby nie wielkie głupstwo, które teraz popełnił: chciał on list z rąk pastora wyrwać, a tem ściągnął na siebie podejrzenie jeszcze

słabszym o trzy i pół proc., w rejencyi bydgoskiej przeszło 4 i pół proc., w Poznańskiem z górą o 7 proc.! Dreszcz świadomości narodowej przebiega wśród Mazurów pruskich, których praojcowie nigdy do Rzeczypospolitej nie należeli, Warmia znać daje, że przeszłość pamięta i staje do szeregu.

Jaką naukę z tych faktów wyciągają Niemcy? Przekonywują się o bezużyteczności swych usiłowań, wiedząc zarazem, że krzywdząc jednych, nie dają nic drugim i że siłę dwu narodów zużywają na pracę w bezplonnych zapasach. Za jakie lat kilkadziesiąt ich właśni historycy napiętnują to niesprawiedliwe postępowanie, jak Anglicy uważają za hańbę swego narodu barbarzyńskie obchodzenie się swych przodków względem Irlandyi. Sami przyjdą do przekonania, że krzywda upadla krzywdzącego, że naród, który zdeprawować pragnie naród inny, zaszczepia jad deprawacyi we własny organizm.

Uprzytomniwszy sobie to wszystko, postawmy teraz pytanie, czy przetworzenie Polski na Wielkorosyę może mieć jakiekolwiek szanse urzeczywistnienia?

Warunków sprzyjających jak na półwyspie Bałkańskim, w Czechach, w Irlandyi, w Poznańskiem, nawet w Galicyi tu nie ma. O kolonizacyi mowy być nie może.

Urzędnicy rosyjscy wiedzą, że należy względem Polaków postępować surowo, bo to stanowi zadanie na każdym urzędzie, bo to zapewnia fawory zwierzchników i daje przywileje. Postępują też ściśle podług tego programu.

Sprawa polska traktowana przez Rosyę w ten sposób jest nie do rozwiązania. Na tej drodze można ją zabagnić, skomplikować, ale nigdy rozwiązać. Naród w najcięższych warunkach przetrwa życie pojedyńczych ludzi, przetrwa system każdy. Praktyka rządu, która drażni ciągle jednę dziesiątą część państwa, część, która pod względem kultury zajmuje niepoślednie miejsce i chce zostać tem, czem była przez wieki, robi ją wrogiem państwa, nie wznosi budowy trwałej, nie tworzy dzieła pożytecznego. Sprawa polska jest nietylko wewnętrzną kwestyą państwa rosyjskiego, ale jest międzynarodową ze względu na zwarte masy Polaków w Austryi i Prusach.

Polityka wynarodowiania, oparta na upośledzeniu wielu milionów ludności, musi być polityką samowoli. Sposoby zaś osiągnięcia tego celu zależą od rodzaju uzdolnienia i zapatrywań wykonawców, ci więc muszą mieć swobodę działania; wszelkie stałe prawa krępowałyby i utrudniały dopięcie zamiarów. Tak też rządzą w królestwie. Często nawet ukaz carski, jeżeli nie jest zbyt dogodnym, nie bywa uszanowany. W Rosyi ani dopominać się o sprawiedliwość, ani dochodzić bezprawia nie można. Przeciw złej woli, głupocie i obłędom fanatyzmu nie ma żadnego hamulca. Ludność jest zdemoralizowana przez samych przedstawicieli rządu, wdrażana do przeświadczenia, że przestrzeganie prawa nie stanowi wcale obowiązku, że nawet praw we właściwem znaczeniu tego wyrazu nie ma. Stosunki te wytwarzają autonomią, ale autonomią biurokracyi, autonomią całej machiny urzędniczej i pojedyńczych jej kółek.

Otóż system ten niewątpliwie zły, usuwający wszelkie prawne regulatory z życia państwowego oddziaływa pośrednio na stan rzeczy w samej Rosyi.

Rosya rządzi się prawami gwałtu, do takich należy narzucanie ludności obcego języka nawet w życiu prywatnem, narzucanie religii, pozbawianie wskutek jakiejś kombinacyi politycznej wszelkich praw, wymagając równocześnie ponoszenia wszelkich obowiązków i ciężarów państwowych.

Rządy takie nietylko uciskają Polaków, ale przechodząc niejako w krew urzędników, dotkliwie dają się we znaki nawet Rosyanom. Urzędnicy bowiem, przywykli do samorządu, stosują rozkazy swoje do wszystkich poddanych. Dziś w Rosyi liczne głosy dopominają się wprowadzenia do zasad państwa *„zakonnosti“*, czyli stosunków wyłącznie na przepisach prawa opartych. Bez tego żaden postęp, żadne prawidłowe uregulowanie życia nie jest możliwe.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Bytomski „Katolik“ donosi w nr. 83:

„Bank ludowy został założony w Bytomiu i od 1-go lipca zaczął działać. Dziś, gdy wszystkie sprawy bankowe już zupełnie są uregulowane, zwracamy uwagę na niego tak tym, którzy pieniędzy potrzebują, jak i tym, którzy sobie pieniądze oszczędzili i radziby je na procent oddali. Bank bowiem ma na celu udzielać pożyczek i przyjmować oszczędności, począwszy już od 1 marki. Bardzo to ważne zadanie i dałby Bóg, aby bank ludowy dobrze i pożytecznie je spełnił...

Z polityką bank ludowy nie ma oczywiście styczności i dla tego bylibyśmy woleli, gdyby w „Gazecie Opolskiej“ z uciechy nad założeniem banku nie byli tak potrząsali pięścią przeciwko związkowi antypolskiemu. Pisali zgoła, że bank ludowy to odpowiedź na założenie związku antypolskiego. Tak nie jest, bank został założony właściwie 17 marca b. r., zatem zupełnie niezależnie od tej sprawy, nie wdaje się w politykę, nie chce się brać za bary z antypolskim związkiem, tylko pragnie na mocy prawa uczciwie działać dla dobra swoich. Trzeba nam unikać przesady; w polityce ona niedobra, a w sprawach pieniężnych zgubna“.

„Gazeta Grudziądzka“ pisze w nr. 83:

„Niemiecki kapitał a polskość“.

„Pod tym tytułem wydał w Berlinie jakiś dr. Gruhn (urodzony w Poznańskiem) książkę pełną rad, aby Polaków zgermanizować co prędzej. Rady takie ukazują się teraz ciągle w druku, ta ostatnia jednak odznacza się więcej od poprzednich zaciekłością i polakożerczością à la Bismarck. Autor żąda, ażeby podjąć na nowo bismarckowską politykę i to o ile możności „w ostrzejszej jeszcze formie“. Występuje też ostro przeciwko prof. Delbrückowi, który potępił brutalny i gwałtowny sposób germanizowania Polaków, a zapewnia, że rząd pruski nie może popierać „wskrzeszenia Polski“. — Przeciwnie, rząd powinien wprost pracować przeciw możności zmartwychwstania Królestwa Polskiego. W tym celu powinien rząd sobie postępować w polskich ziemiach bez wszelkiej względności, aby je tylko zgermanizować. Środków i sposobów ma bowiem rząd dosyć na zawołanie. Ma pod sobą szkoły ludowe, w których może wychowywać po niemiecku młodzież robotniczą i chłopską. Ma fundusz 100 milionowy, a jeśli potrzeba, to i 200 milionowy, aby wykupić (choćby i najdrożej) większe posiadłości polskie; ma nakoniec wpływ na wybór Arcybiskupa, który powinien koniecznie być Niemcem! Pod opieką rządu powinien „Związek“ ku popieraniu niemczyzny zwalczać polski stan średni. Obowiązkiem jest każdego niemieckiego kapitalisty wspierać dążności tego związku“. Tak mówi Gruhn.

Kapitały do kapitałów, do tego setki milionów rządowych, aby wyniszczyć polskich rolników, polski stan średni, a dzieci polskie wychować na Niemców, przeniewierców! Niemiecki pieniądz na wytracenie naszego narodu!

A my, czy do obrony żadnych nie posiadamy kapitałów?

Pieniędzy mamy mało. (a najbogatsi najmniej czynić chcą dla sprawy narodowej) ale mamy olbrzymi moralny kapitał: wiarę, co góry przenosi, miłość, co siły daje do wszelkich poświęceń, świadomość tego, co nam grozi zatratą i poczucie obowiązków względem tych, nad którymi mamy opiekę, a który stanowią przyszłość! To kapitał większy nawet od milionów, bo nie można przecież wszystkiego kupić za pieniądze.....“

Na hyperklerykalny artykuł „Kuryera Poznańskiego“, poruszony w feljetonie („Na wyłomie“) ubiegłego tygodnia, taką daje odprawę „Goniec Wielkopolski“ w numerze 159:

„Trzeba być ślepym, aby nie widzieć różnicy między zadaniem pism katolickich polskich, a takichże pism niemieckich. Naszej prasie nie wolno jest być „przedewszystkiem katolicką i szczerze polską“ jak tego chce „Kuryer“, nasze pisma muszą, oparte na gruncie katolickim, być „przedewszystkiem polskie“, bo ta polskczyzna jest zagrożoną, i więcej dzisiaj zagrożoną, aniżeli wiara katolicka.

Dlatego „w ślad dzielnej prasy niemieckiej“ nie myślimy wstępować bynajmniej, jak również nie myślimy oceniać „wszystkiego z trzeźwego, jedynie właściwego punktu widzenia interesów katolickich“.

Niechaj „Kuryer Poznański“ walczy „o powagę“ u przeciwników, podczas gdy naród ulegać będzie pod naciskiem germanizmu, rusyfikacyi i dynastycznych prądów austryackich; Bogu dzięki nie znajdzie się wielu zwolenników między polską prasą katolicką.

Strzeżmy się germanizacyi przez Kościół!“

---

większe. Tak więc przegrał bitwę, zanim ją jeszcze rozpoczął! Nie zdziwi cię zapewne, że usiłował tu użyć wszelkich środków na swą obronę: od cichej skargi niewinnie prześladowanego poczęwszy, a skończywszy na gromach oburzenia, gniewie i przekleństwach. Lecz jak się okazało — bezskutecznie. Pastor nie łatwo się wzruszał. Na pozór jednak rozeszły się obie strony w zupełnej zgodzie. Jakże więc było strasznem rozczarowanie Nörgaarda, jak szalonym gniew jego, na wieść o klęsce, zamiast oczekiwanego zwycięztwa! A wiedział teraz komu to ma do zawdzięczenia: nikomu innemu, jak Jego Przewielebności Panu Pastorowi. Hausen bowiem, zaniepokojony w sumieniu po otrzymaniu owego listu, oddał głos swój — a za nim poszli i inni wyborcy — na rzecz owego umiarkowanego kandydata, właściciela ziemskiego — a tem samem zapewnił mu przewagę nad Nörgaardem....

Jak tu nie śmiać się z tego? Im więcej zastanawiam się nad tem wszystkiem, tem większą czuję wdzięczność dla Opatrzności, za mądre Jej urządzenia na świecie. Dzięki Jej, uczucia nasze tak łatwo zrównoważyć się dadzą: oburzenie i gniew na widok niegodziwości i prostactwa ostudza szybko uczucie politowania na widok większej jeszcze głupoty ludzkiej!

— Otóż i skończyłem moje relacye. Pozostaje mi jeszcze do nadmienienia, że Nörgaard pełen żalu zaraz na drugi dzień opuścił miasteczko, a teraz wywiera zapewne złość swą na autora listu, jeśli go znalazł, lub autorce, zdaje się bowiem, że go kobieta pisała. A teraz, jeśliś ciekaw, jak ja na sprawę tę się zapatruję...

— Jego prywatny sąd mniej nas interesuje, — przerwał Bergström, składając list — gdyż ten...

— Nie, dlaczegoż? przeczytaj nam i to, może to ważne.

— Nic szczególnego! pisze, że trudno mu uwierzyć w jakieś Nörgaarda „miłosne przygody“, jak on to nazywa, nie sądzi on, ażeby człowiek ten mógł się komu podobać. A jednak tak było, mimo jego głębokich uwag psychologicznych. Ale cóż ty na to wszystko, ojcze?

Mały doktór przebiegał teraz szybkiemi krokami pokój, paląc cygaro.

— Jakie to komiczne wszystko — rzekł wesoło — naprawdę komiczne bardzo! Lecz nie rozumiem, dla czego ty taką sympatyę żywisz dla twego pastora, — ja podzielam zdanie twego przyjaciela o nim. Ale może dla tego, że też jestem powierzchowny w mych sądach? — dodał z uśmiechem.

— Nie znasz go — odrzekł Bergström, przechylając się nagłym ruchem w tył — jestem przekonany, że jesteście w błędzie, osądzając go tak surowo. Jeśli zamiast zupełnie biernego zachowania się oddał głos swój owemu kandydatowi, to uczynił to, zapewniam was, nie dla tego, jakoby chciał biednemu Nörgaardowi szkodzić, nie... a jedynie z tego względu, że inaczej postąpić nie mógł. Musi on znaleść ujście jakieś dla niegasnącego zapału swego; obecnie cały przejęty jest agitacyą polityczną, dusza jego wiecznie wzburzona, wiecznie odbiera wrażenia, przerabia je, porządkuje... myśli bez przestanku i czuje gorąco — a jak pełna ekcentryczności... A zresztą — dodał, ujmując znowu rękę Engelki — tego, że z listu taki zrobił użytek, nie bierzesz mu za złe?

— Nie, dalibóg. Zupełnie mi nie żal Nörgaarda; zasłużył sobie na to, co go spotkało. Ale kto ten list mógł napisać? Przyjaciel twoj nic o tem nie wspomina?

— Nie, a ja też nie mam o tem pojęcia. Lecz myśl napisania tego listu jest przecież znakomitą?

— Tak, znakomita myśl... to była myśl pierwszorzędnego znaczenia, że tak powiem. Myśl wysoce moralnej doniosłości... jednem słowem świetna... Ale, o ile się nie mylę, wspomina twój przyjaciel o tem, że zdaniem jego nie jest jeszcze stwierdzonym ten stosunek Nörgaarda, że może to tylko pogłoska. Nieprawdaż?

— Tak, ale to jego osobiste przypuszczenie, nic nie mające do rzeczy; niema najmniejszej wątpliwości co do tego faktu.

— A gdyby nawet tak było — odparł

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Radikalni Listy“ piszą z powodu reformy wyborczej w Austryi:

„Cała impotencya i brutalność systemu wyborczego, projektowanego przez były rząd koalicyjny, okazuje się w tem zestawieniu, że 1 milion 800 tysięcy ludzi, wypełniających obowiązki przez państwo nałożone, liczących ponad 24 lat, prawa wyborczego posiadać nie będzie.

„W roku 1891 miało w Czechach 45 właścicieli dóbr większych 5 posłów, 5357 właścicieli gruntów 500-morgowych 80, 583 członków izb handlowych 21, natomiast 338, 000 wyborców miejskich 118, półtora miliona wyborców wiejskich 129 posłów.

Według reformy projektowanej miałoby 1.300.000 płacących mniejsze podatki 34 posłów, a 700 tysięcy robotników 13 posłów. W takiem ustanowieniu przypada jeden poseł na 63 wielkich właścicieli, 2592 mieszczan, 10.918 włościan, 40 tysięcy płacących mniejsze podatki a 55 tysięcy robotników.

Wszyscy robotnicy w Austryi posiadaliby 10 posłów mniej aniżeli wielcy właściciele w Czechach samych. Ponieważ jest rzeczą niewykonalną, ażeby 700 tysięcy robotników brało udział w wyborze 13 posłów uzupełnia się jednę niesprawiedliwość drugą, zaprowadza się pośrednie wybory i gwałci autonomią krajów poszczególnych. Galicya z Bukowiną mają wybierać jednego posła, dalej jeden poseł z kuryi robotników przypada na Dalmacyą, Krainę, Istryą, Gorycyą i Tryest.

„Takiej reformy wyborczej inaczej nazwać nie można, jak zamachem, którego dopuszczają się klerykałowie i feudałowie na wszystkich warstwach ludowych“.

* * *

Lwowski, staroruski „Hałyczanin“ pisze o działalności żydowskiego komitetu fundacyi Hirscha:

„Kuratoryum fundacyi barona Hirscha przedstawia sprawozdanie ze swej czynności, z którego przytaczamy daty następujące:

„W ciągu ostatniego roku założyło kuratoryum trzy nowe szkoły, w Delatynie, Śniatyniu i Słotwinie, przytem w zachodniej Galicyi w Dąbrowie. Dla analfabetów, którzy wiek szkolny przekroczyli, urządzono kursa. W Śniatynie jest uczni 75, w Kołomyi 163, w Monasterzyskach 78, w Sasowie 30, Tarnowie 137 itd. W czterech szkołach fundacyjnych udziela się w klasach wyższych „slöjdu“, przygotowującego uczni do rzemiosła. Nauka ta wkrótce we wszystkich szkołach zaprowadzoną będzie.

„Dla biednej młodzieży żydowskiej potworzone zostały bursy. Inspektorami szkół są nietylko inspektorzy przez kuratoryum ustanowieni, ale również inspektorzy powiatowi i krajowi.

„Szkoła w Kołomyi otrzymała już prawa szkoły publicznej, a kuratoryum wyraża nadzieję, że inne szkoły wkrótce w posiadaniu tych praw znajdować się będą.

Ogólna liczba uczni do szkół uczęszczających wynosi 7000, liczba nauczycieli 92. Stypendyów udzieliło towarzystwo 72 kandydatom nauczycielskiego zawodu.

„Co się tyczy szkół zawodowych, to kuratoryum zamierza rozszerzyć szkołę ślusarską w Rzeszowie i założyć szkołę koszykarską w Mielcu. U rzemieślników umieściło towarzystwo 257 uczni, z tej liczby 59 terminatorów posłano do Wiednia.

Zaznaczyć należy, że fundacya zwraca szczególną uwagę na wschodnią część Galicyi. Z pewnością dzieje się to ze względu na Polaków, wobec których, jako panów w Galicyi żydostwo nie jest tak zuchwałe i z których kilku zasiada w kuratoryum.

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Wystawa obrazów
w teatrze polskim.

II.

Czemu uraczono nas całą seryą szkiców p. *Jana Mycielskiego*, na to istotnie odpowiedzieć nie umiem. Świadczy to korzystnie o zamiłowaniu do sztuki młodego malarza, że błądząc wśród uroków włoskiej przyrody, chwytał za pędzel i paletę, ale gdyby każdy artysta wypróżniał na wystawach turystyczne kuferki swoje i szkicowane *prima vista* drobiazgi rozwieszał na ścianach, to na dzieła poważniejsze nie stałoby miejsca. Wywiera to takie wrażenie, jak gdyby literat ogłaszał drukiem krótkie, urywane notatki, zbierane w bibliotekach lub podróżach, a służące jako materyał do jakiegoś dzieła przyszłości. A gdybyż przynajmniej te szkice zdradzały wyjątkowy talent lub niepospolitą technikę, — gdyby to były takie miniaturowe arcydzieła w negliżu, jak niektóre szkicowe zabytki włoskiego renesansu, — ale ja głębszej indywidualności i maëstryi ani w tych drobiazgach, ani w obrazie większych rozmiarów przedstawiającym „*Widok stawu w Pawłowicach*“ odkryć nie umiałem. Artyzm p. *Mycielskiego* jest przedewszystkiem w wysokim stopniu surowy. Woda na obrazie jego jest twarda, zieleń sitowia mazana, rysunek zdradza miejscami rękę niewprawną, a lubo nie można odmówić krajobrazowi pewnego nastroju, świadczącego o artystycznem czuciu autora, to przecież młody ten talent nie na wystawę lecz jeszcze do akademii należy.

Wręcz odmienne wrażenie wywierają dwa obrazy poznańskiej artystki p. *Maryi Kremer*, z których jeden, olejny, przedstawia lilje i róże, — drugi, akwarela, lilje w ornamentacyjnej obwódce. Już przed dwoma laty talent p. Kremer zwrócił powszechną uwagę na artystkę, powróconą miastu naszemu po dłuższych studyach w Paryżu i Londynie. Mniej zachwycały mnie główy, ale kwiaty, zdradzające niewątpliwie wpływy Francuzów, odznaczały się takiem poczuciem barwy i linii, tak subtelnem dotknięciem pędzla, że w potopie rozmaitych róż, maków i bratków, prezentowanych na wystawach poznańskich, utwory p. Kremer stanowiły coś odrębnego, coś wznoszącego się z szablonowej produkcyi kwiatowych robótek na wyżynę prawdziwej sztuki. Z obecnych obrazów wolę akwarelę niż olejne płótno. Tu bowiem układ bukietu zdradza wprawdzie niepospolite zdolności kompozycyjne, ale soczystością kolorytu i plastyką tchną tylko róże, rozrzucone u stóp wazonu. W akwareli natomiast, — w tych liljach częścią nie rozwiniętych jeszcze, a częścią już nieco zmęczonych, dyszy wiosenna świeżość. Gra linii w zręcznych wiązaniach i skala tonów liljowych stanowią misterną całość. Obraz Maryi Kremer traci nieco na dekoracyjnem traktowaniu, ale charakter kwiatów, w rozmaitych fazach rozwoju, uchwycony jest z takiem poczuciem natury, że akwarelę tę zaliczam do najpiękniejszych okazów wystawy.

W „*Pierwszym popisie*“ Stanisława Bergmana rażą przedewszystkiem dziwaczne efekty światła, — z lewej strony blask zapalonego cygara, z prawej strony ogień na kominku, — dwie symetryczne plamy płomienne w dwóch kątach obrazu. Bergmann, w rysunku poprawny, nie odznacza się darem charakterystyki. Jego chłopiec, grający w izbie chłopskiej na skrzypcach, robi wrażenie martwej, z żurnalu wyciętej figurki. Dosyć plastyczne, ale jakby zastygłe są też dwie inne postacie przy stole, — natomiast dziewczyna, siedząca opodal kominka, tak pod względem wyrazu bladego oblicza jak układu całej postaci odznacza się prawdą i znakomitem wykończeniem. Całość, mimo zalet technicznych i efektownego tematu, nie żyje, — bezduszna i nieruchoma.

---

doktór — gdyby to wszystko okazało się najzwyklejszą plotką tylko, to i tak widać byłoby w całem tem zajściu karzącą rękę sprawiedliwości... Wyższa sprawiedliwość... Ludzie z tak grubemi na świat poglądami, ludzie, którzy, że tak powiem, patrzą na życie wzrokiem chłopa, oglądającego dzieło subtelne sztuki — tacy ludzie zasługują, ażeby ich jak psów pozabijano! To są zwierzęta szkodliwe dla społeczeństwa ludzkiego!

— Może być. Lecz tym razem nie ma wątpliwości nawet. Widzisz, że fakt ten musiał być znanym wogóle, skoro mógł ktoś list ten do pastora napisać.

Nastała dłuższa cisza. Wtedy Engelke, przechyliwszy nagłym ruchem głowę, szepnęła mu do ucha:

— Jerzy, to ja list ten napisałam!

Zerwał się z miejsca swego.

— Co mówisz, Engelko? — rzekł — patrząc na nią osłupiały.

Cóż tam takiego? — spytał doktór, podchodząc bliżej.

Bergström zawahał się.

— Nic! — odparł.

— To ja ten list pisałam — odezwała się teraz Engelke, patrząc ojcu w oczy.

Zupełna cisza zaległa przez chwilę pokój.

— Ty napisałaś list? — spytał ostro.

— Ja — odrzekła.

Obydwaj spojrzeli na siebie w milczeniu.

— Czy źle zrobiłam? — spytała, patrząc nieśmiało na Bergstöma.

Przez chwilę nie odpowiedział, potem zbliżył się do niej i usiadł obok niej na kanapie.

— Czy źle? — powtórzył, biorąc ją za rękę — nie powiedziałbym tego, lecz... lecz... obawiam się, że nie dość roztropnie...

Spojrzył przy słowach ostatnich na doktora.

— Nie, dalibóg, to było arcygłupie! — zawołał tenże.

Twarz Engelki oblał rumieniec aż po brzegi włosów jasnych, lecz Bergström uścisnął jej rękę i rzekł:

— Ojciec twój nie sądzi tak źle, wnosząc z tego, co przed chwilą o liście powiedział. Za pospiesznie trochę działałaś, to prawda. Czy zastanowiłaś się nad tem, zanim to uczyniłaś?

— Ależ sam miałeś ochotę list taki napisać! — rzekła.

— Tak, moja droga, ale to całkiem co innego. Jestem mężczyzną, przeto mniej niż ty zależnym. Stanowczo należało z nami o tem pomówić, zanim to uczyniłaś!

— Oto są skutki tej zawziętej skrytości — odezwał się teraz doktór wzburzony — to najmilszy twój grzech oddawna, pamiętam go, odkąd tylko mam zaszczyt znać cię... Skrytość ta jest niezdrowa, bo czyniąc człowieka w sobie zamkniętym, wytwarza w nim oschłość serca, i często prowadzi, jak i w tym wypadku, do postanowień przedwszesnych. Nieraz już o tem mówiliśmy, właściwie mówiłem tylko ja, bo ty nigdy słowa nie mówisz. Siedzisz zawsze w całym majestacie milczenia i ledwie słówko odpowiedzieć raczysz, gdy do ciebie mówię. Czyż rzeczywiście o tyle jesteśmy niżsi, że nie uważasz nas za godnych słuchania złotych słów twoich? Co?... powiedzże teraz choć słowo!...

Bergström wstał.

— Na to nie można tak zaraz odpowiedzieć — rzekł z uśmiechem — Engelke za to bardzo wiele myśli, a zdaje się, że nie wszystko to dla nas pochlebne. W ogóle jednak nie uważam, aby tu był powód do jakiego gniewu. Postępowanie Engelki można zrozumieć. A choć nie da się ono zupełnie usprawiedliwić, jest bądź co bądź ludzkiem, jak powiada mój przyjaciel.

— Ależ to nie zmienia zupełnie rzeczy — przerwał Pauli — tak samo jak z przyjacielem twoim, pastorem. Jego postępowanie także było dla ciebie zrozumiałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bez wybitniejszej indywidualności, ale na ogół dobrze i śmiało malowany jest obraz *Alfonsa Borkowskiego*, przedstawiający epizod wojenny z r. 1863. Traktem przez wieś wiodącym mknie trzech konnych powstańców, a opodal z lasu wychyla się oddział konnicy rosyjskiej. Jest w postaciach zaskoczonych żołnierzy wiele brawury i życia. Pierwszy z dobytym mieczem tchnie siłą rycerską i zuchwałością junacką, drugi trochę nienaturalny w pomyśle, lecz bez zarzutu w ruchu i przegięciu strzela z galopującego konia, trzeci wreszcie przyczajony za ścianą chałupy streszcza się cały w wytężonym wzroku, naprężającym całą postać jego. O ile jednak ludzie tego obrazu odznaczają się wielką śmiałością i poprawnością rysunku, o tyle konie są bez charakteru i nie wytrzymują porównania z akwarelami *Juliusza Kossaka*, nadesłanemi na wystawę poznańską. Światło nie wszędzie jest konsekwentnie przeprowadzone a stereotypowe gęsi i drewniany bocian, wylatujący z gniazda, rażą banalnością swoją. Natomiast szary, lecz nie pozbawiony obfitej skali tonów koloryt obrazu, tworzy nieco posępną, lecz do tematu dostrojoną atmosferę. Oddanie całe jest jędrne, a dotknięcia pędzla nie zdradzają żadnego szukania i zacierania.

* * *

Na zakończenie dzisiejszej przechadzki po wystawie pozwalam sobie zboczyć na inną ulicę, gdzie w prywatnem mieszkaniu znajduje się obraz znacznych rozmiarów, ofiarowany przez p. mec. Ludwika Cichowicza kościołowi w Pszczewie. Obraz, którego autorem jest p. *Damazy Kotowski* z Krakowa, przedstawia św. Maryą Magdalenę, zatopioną w modlitwie, na tle pustynnego krajobrazu. Postać pokutnicy zaleca się oryginalnem, odskakującem od tradycyi pojęciem. Nie jest to czarująca pełnią i harmonią swych kształtów kobieta, rozmodlona u stóp Chrystusa, lecz Magdalena — ascetka, której post, włosienica i modlitwa wraz z piętnem grzechu wydarły kuszące formy Heby ponętnej. Tradycyjna Marya Magdalena to jawnogrzesznica, pogrążona w egzaltacyi religijnej, lecz otoczona całym urokiem zmysłowego piękna, — święta p. Kotowskiego to jakaś surowa, wychudła pustelnica, w której z czarów kobiecego piękna zaledwie ślady zostały. Tamta była urokiem ciała, to jest asketycznem uduchowieniem.

Obraz obliczony na wielką odległość jest pod względem technicznego wykończenia nierównym. Górna część płótna przedstawiająca dwóch aniołków spływających w szerokiej smudze światła nie odznacza się oryginalnością pomysłu i zaletami rysunku, — dolna część natomiast tak pod względem charakterystyki, jak kompozycyi i kolorytu posiada wybitne zalety. Szczegóły nie zdradzają nigdzie systemu gładzenia i miękkiego przekończania, przeciwnie gdzieniegdzie uderza nawet pewna pobieżność. Krajobraz rzucony jest szkicowo, jak gdyby artysta takiem dyskretnem traktowaniem tła pragnął uwagę widza skoncentrować na postaci klęczącej i dominującej w całem otoczeniu pustelnicy. Utwór tchnie ciepłem i dużo w nim światła, — szkoda więc, że dla szerszej publiczności poznańskiej pozostanie nieznanym.

W. R.

PODPALACZ.

Grajcie ostro muzykanci
A tanecznie, a od ucha!
Hej! dziewuchy, hej! chłopaki,
Rusz się żywo karczmo głucha!
Dalej! wódki daj mi żydzie,
Nalej pełny półkwaterek,
Mocnej daj mi jako ogień, —
Nalej czysto bez szacherek!
Hej! niedobra ta gorzałka,
Taka słaba jako woda,
Daj mocniejszej wódki, żydzie,
Bo na taką gęby szkoda.
Lej, nie pytaj, — byle żwawo,
Wszak na wódkę stać bękarta!
Wszak dziedzica synem jestem...
Cóż nieprawda?... Tfu! do czarta!...
Coście ludzie tak zamilkli?
Czy wam nową rzecz powiadam?...
Wszak wie o tem wioska cała,
Lecz ja pierwszy raz to gadam...
Cóż, czy w kpinach nie pytacie,
Gdzie mi matkę ziemia tuli, —
„Gdzie twa matuś, krzywy Franek?...
„Idź i ukłoń się tatuli!...“
Tak! poszedłem dziś do niego,
On mię przyjął tam serdecznie,
Tak mię przecie ucałował,
Że pamiętać będę wiecznie!
Patrzcie! Franek posiniony,
Jako bania spuchły pyski!
Ha! mój ojciec bardzo hojny,
Bo na wódkę dał dwie dyski!...
I powiedział, że jak kiedy
Nazwę siebie jego synem,
To on zemści się okrutnie
Nad synalem swym jedynym.
Dalej! wódki nalej żydzie!...
Pijcie chłopcy, pijcie starzy, —
Cóż to? Franka się boicie?...
Jam dziś wesół, — wam się marzy!...
Pijcie zdrowie ojca mego,
Matki mojej, pańskiej dziewki, —
Zdrowie Franka też krzywego
Pijcie dziewki czarnobrewki!
Oj! bo to był dobry ojciec
I o syna dbał on zawsze,
Niech mu za to grosza wiele
Dadzą nieba najłaskawsze!...

By rozpusty zatrzeć ślady,
Matkę moją wygnał z domu,
W świat szeroki ją przegonił,
By nie niesła mu w dom sromu.
I wypędzał tak łagodnie
Dziedzic możny, ojciec tkliwy, —
Że od kija częstych razów
Franek przyszedł na świat krzywy!
A gdy matka z nędzy zmarła,
Wziął bękarcie dziecko swoje,
By mu rosło na pociechę,
By nie znało, co to znoje.
Komornica hodowała,
A los tulił chłodem, głodem,
Psy się tylko litowały
Nad mej doli czystym miodem!!...
Gdy urosłem na chłopaka,
To pastuszkiem mnie zrobiono,
Bat mi dano, czapkę starą
I koszulę posmoloną.
Pasłem gęsi, potem źrebce,
Potem byłem rok przy dworze,
Lecz mnie ztamtąd przegoniono
Za niemrawość moją może!
Dzieci ze mnie wykpiwały,
Ludzie starzy przezywali
Mię bękartem, pańskim synem...
I tak życie szło mi dalej. —
A po latach, gdy na chłopa
Urósł Franek krzywy, głuchy,
To wnet wioska urząd dała
Gromadzkiego mu pastuchy.
Gdym się dostał na pastucha,
To mi jakoś poszło lepiej,
Bom był dalej od was ludzie,
Ludzie srodzy, ludzie ślepi!
Sam ze stadem na pastwisku
Franek ludzi nie kłuł w oczy....
Tak, samotnym być mi lepiej,
Chociaż smutek głębiej mroczy.
Lecz i tu mnie znów niedola
Z swego łona nie puszczała,
Oj ty dolo! — dolo czarna,
Czemuś taka groźna cała?!...
Była w dworze dziewka jedna
Kaśką zwana, — wszak ją znacie?...
Odumarli ją rodzice,
Pozostała sama w chacie.
Więc na dziewkę się zgodziła
Tam do dworu, do pańskiego —
Ładna dziewka, zgrabna była, —
Lecz cóż ludzie wam dziś z tego!...
Jam się do niej tak przywiązał,
Jak pies wierny do człowieka,
Tak ją lubił, tak miłował,
Jak miłować mógł kaleka.
Ona mną wciąż pogardzała,
Śmiała się też z garbu mego,
Lecz i to mi było miłem,
Niech jej Bóg nie pomni tego!
Ja wieczorem wciąż bywało —
Popod dworskie idę ściany,
By, zobaczyć jak ma Kaśka
Pójdzie tutaj, — tu na tany.
Ona znowu, — gdy mię zoczy,
To wesoło mię zagabnie:
„Cóż ty, Franek? — wciąż miłujesz?...
„Ukłoń że mi się też zgrabnie!“
Takem zdala ją miłował
Jak nikogo już na świecie!...
I przepadła mi dziewucha...
Tak się dola strasznie plecie!...

PIOTR ROSENEGGER.

Ostatnia noc skazanego.

(Tłom. z niemieckiego **I. M.**)

— Panie dozorco! panie dozorco! Proszę przynieść mi jeszcze nóż i widelec.

— Nie wolno! — odparł wezwany, otwierając skrzypiące drzwiczki.

— To przynajmniej serwetę! — prosił więzień.

— Nie wolno.

— W takim razie proszę zabrać sobie tę pieczeń; głodny nie jestem. To miłe wino także! Gdybym je wcześniej był dostał, stałoby się może pokrzepieniem serca. Dziś strachem mnie przejmuje. Panie dozorco! proszę, poświęć mi jedną chwilkę. Jesteś pan przecie człowiekiem i nie odrzucisz mej ostatniej prośby.

— Czegoż pan sobie życzysz?

— Proszę tylko o mały zwitek szpagatu lub czegoś w tym rodzaju, to może się dobrze przydać. Proszę!

— Nie wolno.

— Posłuchaj pan. Przecież jutro i tak mnie powieszą. Zasłużyłem na śmierć, to przyznaję, ale nie zasłużyłem na tę noc, która mnie czeka. Na miłość Chrystusa, nie dręczcie mnie tą straszną nocą przedśmiertną. Tylko tę noc mi darujcie, oszczędźcie mi tej strasznej trwogi, błagam na Zbawiciela ukrzyżowanego — błagam was...

— Nie wolno! — odpowiedział dozórca i chciał odejść.

Więzień pochwycił go za ręce i szeptał z wielkim pospiechem:

Pan się wcale nie narazisz, przychodząc mi w pomoc. Nikt się o tem nie dowie. Masz pan sznurek, którym związujesz drzewo na opał, zostaw go pan, możesz przecie zgubić go w celi. O cóż mi chodzi? tylko o oszczędzenie wam roboty. Z dawna już nauczyłem się sam sobie radzić we wszystkiem więc niechże i to także zrobię sam dla siebie. Nie potrzebuję na to nikogo, tylko to....

Drzwi zatrzasnęły się i więzień sam pozostał. Ale jeszcze przez okienko krzyczał na całe gardło, a głos jego rozlegał się w ciemnym korytarzu.

— Kto wam dał takie prawo? Życie zabrać mi możecie, kodeks wam to nakazuje, a wy słuchacie ustawy. Ale trzymać mnie gwałtem przy życiu, zanim się wam spodoba zadać mi śmierć haniebną! Mówić do mnie: Musisz umrzeć jutro, a wzbraniać mi uczynić to dziś jeszcze! Zkąd to prawo macie? Jeśli na śmierć zasłużyłem, pozwólcież mi zaraz umrzeć! Ja chcę to dobrowolnie uczynić; aby nie pokrzywdzić kata, niechże mu zapłacą. Może wreszcie trupa mego na szubienicy powiesić; niech widzą wszyscy, że prawu zadość się stało. Zgoda na wszystko; pocóż jednak używać przemocy, kiedy ja to dobrowolnie chcę zrobić. Ja zabiłem, prawda, więc i mnie zabijcie zaraz. Gdzież to napisano, że ja za zabójstwo jeszcze jednę długą noc przeżyć muszę? Skazaliście mnie na śmierć, to i dobrze, ale mówię wam raz jeszcze, jakiem prawem każecie mi żyć całe tygodnie po wyroku? Jakiemże okrutnem prawem, pytam się was panowie? Czyż pierwszy atak sercowy nie może was uprzedzić i waszego wyroku unieważnić? Zabiłem, a wy jednak nie bylibyście mnie powiesili! Jeśli nie możecie zapobiedz ataku apopleksyi, czemuż przeszkadzać samobójstwu, które przecież nie unieważnia waszego wyroku, lecz go wykonywa!

Chcecie, abym umarł z ręki kata, rozumiem, — jest w tem jakaś racya. Ale gdzież on jest, do kata? Czyż nie może uczynić tego dziś równie dobrze jak jutro? Niechże nareszcie raz przyjdzie. Ten głupi strach przed nim jest okropniejszym niż on sam. Czyż on nie mógł tego już przed siedmiu tygodniami uczynić? Nieskończenie okrutni jesteście — potężni panowie! Przecież wyrok mówi po

Syn się pański rozmiłował
W czarnobrewej mej dziewczynie...
Ha! ha! niby mój braciszek!
Niech mu życie słodko płynie!
Uwiódł dziewkę mą jedyną,
Zabrał wianek jej różany,
Potem nogą jak psa trącił
Panicz drogi, wychuchany!...
Ona poszła w świat daleki
Od was ludzie kryć swe oczy,
Pogardziła i mną biednym...
Oj! łza ciężko oko mroczy!...
A jam poszedł do dziedzica
Prosić sądu na me życie,
O mych krzywdach mu powiedzieć,
Podziękować mu też skrycie!
Lecz on ludzi wnet przywołał,
Jak sobakę mnie wygnali!...
A jam pięście zacisnąwszy
Poszedł sobie w drogę dalej.
Ej! wy pany, możne pany
A gdzie wasze jest sumienie?...
Czy w was ludzka dusza siedzi,
Czy też twarde z pól kamienie?...
Gdzie wam dano takie prawo,
Że pokalać chłopską dolę
Wolno wam jak zbójcom leśnym
Na rozpustę, na swawolę?
Ej, wy pany możne pany
Pięścią grozi wam kaleka.
Oj! zaśpiewa wam oberka,
Że aż zadrży z łez powieka!
Ha! Ha! dalej, wódki żydzie!..
A zagrajcie mi od ucha!...
Dalej, dalej a wesoło
Obereczka grajcie zucha!...
Patrzcie ludzie! łuna bije...
Ponad dworem pożar błyska!...
Pali się dwór wielki, biały,
Wiatr iskrami w niebo ciska...
Jasną ja ci, ojcze drogi,
Na zabawę zatlił zorzę! —
Dalej hulaj, pij, używaj,
Masz tu dziewki strojne, hoże!...
Baw się wesół — a od ucha! —
Oj! bo Franka popamiętasz,
Ładny'm, groźny dzisiaj sprawił
Wiekowieczny ci lamentarz!...
Dalej! chłopcy! — który żwawszy
Niech pode dwór żwawo bieży,
Bo tam z główką rozwaloną
W rowie martwy panicz leży!...
Ha! ha! ha! ha! Hop! wesoło!...
Wódkę pijta za me zdrowie!...
Szumi pożar... łuną błyska...
Panicz martwy leży w rowie...

Probierczyk. 1895 r.

Bohaterowie a poeci.

Nie tak bardzo dawno, kiedy poezya nasza z bohaterskiej i proroczej, jaką była za życia wielkich poetów okresu romantycznego, — przeszła powoli, w miarę ich wygasania, — w czułostkową, wciąż zalzawioną, jęczącą za każdem zerwaniem się byle struny sercowej; kiedy, pozbawiona silnych męzkich akcentów, zaczęła się roztkliwiać głównie nad tem: jak więdną kwiaty uczuć, jak serca, pozbawione miłości, pękają, a proza powszedniego życia dławi czułe istnienia takowej spragnione, — wtedy pokolenie, dbałe o to, by w ciasnych szrankach życia urządzić się bez szwanku, wydrwiło podobne żale i skargi poetów, odmawiając ich poezyi znaczenia pożytecznego w życiu ogólnem czynnika. — Wprawdzie kilku zdolniejszych przedstawicieli tej poezyi, przesiąkniętej jednostkowemi, nikłemi bólami, poprawiło jej sytuacyę (tak na przykład Sowiński, Asnyk i t. p.); wprawdzie później przybyło nam więcej poetów zdolnych, jednających sobie ogół czarownym dźwiękiem swych lutni i nutą nieosobistą (Konopnicka, Kasprowicz i t. p.) — zawsze jednak i z tych objawów odrodzonej poniekąd muzy niewiele sobie u nas robiono: nie stawiano poetów wyżej ponad resztę użytecznych społeczeństwu pracowników, a pojawiania się ich nie witano, tak jak się wita n. p. kometę. — W najlepszym razie cieszono się z ich przyjęcia, tak jak się cieszono z tego wszystkiego, co rozwojowi piśmiennictwa sprzyjało i zdobiło go poniekąd. — poeci sami w owym czasie niezbyt wiele nam o swem posłannictwie prawili i z działalności swej nie robili czegoś nadzwyczajnego. — Dopiero ostatniemi czasy, kiedy w społeczeństwie naszem przebudzać się zaczęły uczucia uśpione tak zw. „pracą organiczną“, kiedy myśl nasza, nieodrywająca się od ziemi, zaczęła sobie pozwalać na rozmaite śmielsze wzloty: fantazye, mistyczne westchnienia, sny o życiu nieziemskiem etc.... a i na dążenie do idealniejszych, chociaż bardziej namacalnych form bytu, — w poetach duma zaczęła wzrastać, a z utworów ich przeglądać świadomość, że spełniają rolę płonących pochodni, wiodących ludzi ku celom wyższym, ku stanom doskonalszym!

Nikomu tej świadomości nie chcielibyśmy odejmować; jest ona dobroczynną, sama myśl bowiem, że z działalności naszej może wyniknąć jakiś pożytek dla społeczeństwa, zdolną jest nas na drogę pożytecznego działania wyprowadzić. Działalność przeto poetów, płynąca z podobnegoż przeświadczenia, może znaleść poczesne miejsce w liczbie rozmaitych „użyteczności“. — Nie trzeba tylko zbytnio jej przeceniać, czem często grzeszą kochankowie muz, utożsamiający nierzadko wypowiedzenie pięknych słów z ich urzeczywistnieniem, widzący w śpiewie swem już nie odbicie walk za wielkie cele ludzkości, lecz najskuteczniejszą walkę za nie. Pretensyonalność poetów, nawet największych, dobrze jest znaną; są oni nadto czuli na sądy potomnych, — chętnie więc wyolbrzymiają zasługi własne, by z większą pewnością módz skroń przyozdobić niewiędnącym wawrzynem. W postawie ich jest zwykle dużo pozy, — szczytnej niekiedy i wielkiej, lecz najczęściej przesadnej; poeta nie lubi widzieć siebie w powszednich warunkach działania, — dla niego zawsze trzeba wyjątkowych położeń; jak schillerowski Posa wobec Carlosa, tak i on staje przed nami nie jak zwyczajny towarzysz zabaw,

„Lecz jako poseł od ludzkości całej;“
albo do tej „ludzkości całej“ — przemawia jak pół-bóg, jak demiurg jaki, jak prorok wieszczący przyszłość jemu tylko objawioną. — Usposobienie tego rodzaju najczęściej zdradzają poeci wtenczas, kiedy społeczeństwo szuka po omacku jakiejś nowej dla siebie drogi, kiedy pragnienia jego są nieokreślone jeszcze, będące w stanie przeczuć i stłumionych westchnień; w chwili słowem zamętu idei i pojęć, — okresie uczuć rozhukanych, wylewających się na oślep w rozmaitych kierunkach. — Poeta wówczas najlepiej dogadza ogólnemu nastrojowi — sam bowiem najczęściej gości w krainie pragnień i przeczuć, najlepiej do niej zna drogę, — najpromienniej ją sobie wyobraża i innym przedstawia. — Wydawać może się mu wówczas, że: „W przedwiecznej bogów zasiadał on radzie, „Był przy posiewie światów — i zagładzie;“ — i to, że jest on bohaterem, obracającym koło fortuny ludzkości, wiodących ją do lepszych przeznaczeń, — że jest królem ducha etc. etc. Wskazywać drogę, a wieść, — być królem ducha, a królem czynu, jakże to wielka różnica! Poeta nie liczy się z tem w chwili swych natchnień podniosłych. Dzisiaj to nie tak poważnie i silnie wygląda, jak za czasów Schillerów, Byronów i Mickiewiczów, ma jednak i w naszych czasach swój zdrobniały wyraz, potwierdzający niesłabnące pretensye poetów i przecenianie własnego znaczenia. — O tem właśnie mamy zamiar pomówić. Nie możemy uganiać się za wszystkiemi tego rodzaju usposobieniami poetów doby dzisiejszej, musimy poprzestać na kilku zaledwie, nie przecząc zresztą, że są i im przeciwne.

W „Przeglądzie Tygodniowym“ z 94 roku w numerze 46 w artykule A. Langego, którego każdy bez wahania zaliczy do zdolniejszych poetów naszych, znajdujemy sąd następujący: „*Poezya — powiada poeta — jest jednym z najważniejszych rodzajów bohaterstwa, a poeta jest bohaterem etc...*“ — w „Tygodniku Ilustrowanym“ zaś p. Czesław Jankowski — także poeta nie byle jaki — wita w nr. 8 tego pisma z 95 r.) „nowego poetę“ p. Kazimierza Tetmajera, z takim entuzyazmem, jakby prawdziwego bohatera — odrodziciela nietylko pieśni, lecz i czegoś

---

prostu o śmierci i król go podpisał, a egzekucya trwa najwyżej pięć minut. jeśli kat nie jest partaczem. Od siedmiu tygodni, od chwili, w której odczytaliście mi wyrok, konam nieustannie. Ale i to wam nie wystarcza, chcieliście zwiększyć mój strach śmiertelny przed ostatnią chwilą i oto dzisiaj objaśniliście mnie łaskawie, że jutro rano o szóstej wyrok wykonanym zostanie. Moja ofiara nie cierpiała ani minuty, panowie, ani minuty! A wy? Oto wy tą winą sumienie obciążacie! Całe siedm tygodni i tą noc jeszcze. Na sąd wieczny zaklinam was, niechże się to skończy!

Tak wołał, a wyraz każdy jak krzyk śmiertelny rozlegał się straszliwie po długim korytarzu, ale nie dochodził uszu tych, którzy go słyszeć mieli.

Gdy więzień odwrócił się w swej ponurej celi, ujrzał na ławie obok posłania ze słomy talerz z pieczenią i kieliszek wina. Roześmiał się.

— Teraz mam jeść i pić! — zawołał z głuchym śmiechem. — Dogadzać podniebieniu w ostatnią noc życia. Czy to złośliwość z ich strony, czy może.... Zapewne, gdyby to można ogłuszyć się pół litrem wina! Gdyby to można! Nie, to ma mnie tylko pokrzepić, abym potem tem silniej męczarnią odczuwał. Podobno wino upaja łatwiej, jeśli je pić powoli. Ach! mieć dwie ręce, dziesięć palców, zęby — i tak być bezsilnym! Ileż dobrego ołowiu zmarnowałem na polowaniach! Ileż istot zamordowałem, co tak chętnie byłyby żyły jeszcze. I oto żadna kulka nie została dla mnie, by mój szalony strach zagłuszyć. Strach przed katem! czyż to nie śmieszne? Toć on zrobi to tylko, co ja sam zrobić pragnę. — Och! jakieś kroki! Może już idą? może to oni? Nie, to pewno ksiądz nadchodzi. Jeśli o to tylko chodzi — to mu podziękuję. Moje własne grzechy już wyznałem, teraz mógłbym się tylko z cudzych spowiadać. Brrr — dreszcz zimny mnie przechodzi, — to te cudze winy. Że żyć muszę jeszcze na to tylko, by cierpieć strach śmiertelny — to cudze winy. Dziękuję wam za tę pomoc, dziękuję. Na tę noc pragnę innego towarzystwa. Czyż to jest to inne towarzystwo. Przywoływałem na myśl moje szczęśliwe czasy, aby mnie rozerwały tej nocy. Wspomnienia przepychu, przyjaciół, kobiet, zabaw moich i tryumfów przywoływałem. Tymczasem zjawiają się inni goście. Z ponurej głębi lasów, sarny i jelenie, które padły z mej ręki, kuropatwy, bażanty, cietrzewie — otaczają mnie z osłupiałemi oczami — te przeklęte ptaki. — Cóż? Chcecie, abym wyznał spełnione na was morderstwo? Więc i naszą śmierć wyspowiadać i odpokutować muszę? Jak świat światem nigdy tego żaden nie przypuszczał myśliwy. Te straszne widziadła! beczą mi i gdaczą, że za kilka godzin na szubienicy zawisnę. Precz! precz odemnie! Co widzę jeszcze? Szkielety ludzkie! Robotnicy, chłopi, poddani, dzieci, które w moich bogatych dobrach z głodu i nędzy zmarniały? I kobiety także! Czegoż te żądają, skwitowaliśmy się przecież! Sprzedałyście mi swój zielony wianek, zapłaciłem za niego gotówką, i zaprawdę nie oszukałem was. Wydarłem go wam — mówicie? Ach, idźcie precz, kto wam go wydrze, temu go same rzucacie pod nogi — to stara historya. — Nakoniec przyjaciel! Ten z Monte Carlo — z raną na czole! Czegóż ty chcesz odemnie? Czyż mam odpowiadać za przypadek? Gdyby kości były padły inaczej, ja byłbym ofiarą. Taka zwykła jest kolej gry. Ale, Aladarze, strach bierze patrzeć na ciebie. Aladarze! odejdź w pokoju i mnie pokoju nie pozbawiaj. — Teraz — nareszcie on sam się zjawia! Hrabia Ferdynand, mój wróg i współzawodnik znienawidzony śmiertelnie. Tylko za śmierć tego stworzenia odpowiadać muszę.

Chwila, kiedy padał pod ciosem mego sztyletu — zaprawdę słodszą była niż miłość, której kosztowałem — chwila ta warta była śmierci z ręki kata!

Czegoż chcesz, hrabio, zrównaliśmy rachunki!

Jakto? Rękę mi podajesz? Ty tylko! Ty jeden przebaczasz, ty, na którym tę zbrodnię spełniłem? Ty jedyny z pomiędzy wszystkich, co mi byli przyjaciołmi! Oni mnie obsypują przekleństwami. Ty zjawiasz się jako po

więcej jeszcze. Nie odmawiając niejakiej słuszności poglądowi Langego, ani też wybitnych zdolności poetyckich p. K. Tetmajerowi (nie o to tu chodzi!) — chcielibyśmy „bohaterstwu“ poetów dać tu prawdziwą jego formę; uskutecznić powyższy zamiar będziemy mogli: 1-o przez porównanie poetów z prawdziwymi bohaterami, 2-o przez zdanie sobie sprawy z tego: jak wpływa na ludzi „bohaterska“ działalność jednych i drugich.

Pozory zbliżają ku sobie bohaterów i poetów: i tych i tamtych opromienia sława, przez liczne wieki, — jednym i drugim wznosi wdzięczna ludzkość trwałe pomniki, — uwieńczy jednakowo na Kapitolu etc. etc.... Nie daje się również zaprzeczyć, że rodzaje ich „bohaterstwa“ podobne są niekiedy do siebie, że jedni i drudzy walczą za jedno, cierpią podobne katusze myśli lub ciała, skazują siebie świadomie na jednakowe męczeństwa. Dużo mamy poetów, którzy byli także i bohaterami, n. p. Eschylos, Tyrteusz, Cervantes, Chénier (Andre), Silvio Pellico, Mieczysław Romanowski i t. d.; wielu również takich, co mieli bohaterski temperament i próbowali bohaterskiego działania, nie poprzestając na takimże śpiewie; u nas był takim poetą Mickiewicz, w Niemczech Schiller, o którym przyjaciel jego generał Scharfenstein powiedział, „że gdyby Schiller nie był wielkim poetą, to nie miałby przed sobą innej drogi, tylko musiałby zostać wielkim człowiekiem w życiu czynnem“ — i dodawał, że w takim razie zaszczytne męczeństwo byłoby jego udziałem. — Ale wszyscy tego rodzaju poeci do działalności bohaterskiej głównie z powodu swej organizacyi duchowej i byliby bohaterami pomimo geniuszu poetyckiego.

Nie w nim więc tkwi przyczyna bohaterstwa, jak on niem nie jest! Geniusz poetycki przeciwnie, — nie sprzyja bohaterstwu — jak to zobaczymy później, a nie trzeba wcale być geniuszem, by zostać bohaterem. — Wyżej pomienieni wielcy ludzie byli bohaterami i poetami zarazem, — niech nas jednak ten szczęśliwy zbieg okoliczności nie uwodzi! Jesteśmy zdania, że każdy prawie bohater jest poetą, — rzadko jednak który poeta t. j. człowiek obdarzony geniuszem poetyckim był bohaterem i posiadał potrzebne, by nim zostać, przymioty. — Być bohaterem, to znaczy: poświęcić siebie całkowicie jakiejś wielkiej sprawie, jakiejś idei, — wyrzec się tego wszystkiego, co jej ziszczeniu się nie sprzyja; istnienie swe przejściowe nagiąć do celów powszechnych, związanych z dobrem danej grupy ludzkiej, — to służyć celom tym bezinteresownie i umieć złożyć na ich ołtarzu samego siebie wtedy, gdy okoliczności tego wymagają; to przedewszystkiem — harmonizować czyny swe ze słowami i dążyć do przeobrażenia całokształtu istnienia naszego w taki sposób, by rozdźwięk, panujący między ideą a czynem nie mógł więcej ducha niepokoić. — A to wszystko jest najczystszą poezyą, jak jest nią każdy nastrój ducha naszego, co nas od filisterstwa odwodzi, co w nas wytwarza zdolność poświęcania się widokom odkrywającym nam coś więcej nad możność zadośćuczynienia osobistym interesom. Każdy rzut śmielszy w przyszłość, nie obrachowany miarą osobistej korzyści — każda działalność poświęcona istotnemu dobru człowieczeństwa, — jest poetyczną. Tu wchodzi w grę i fantazya wybujała, i rozkoszowanie się odległemi obrazami rzeczy upragnionych i przeczucie spełnionego obowiązku etc... słowem to wszystko, co na miano szczytności zasługuje. — Wszak poetą by trzeba być, by zgodzić się dobrowolnie na śmierć jak Sokrates, by faktem tym nadać większe znaczenie głoszonym zasadom? — poetą — by zostać jakim: Sakja-Munim, Chrystusem, Mahometem, Hussem, lutrem nawet, Tomaszem Münzerem i t. p.?

Znając żywot tych i podobnych postaci, wiemy nadto, iż poezya ich była czynną — dla tego też była — bohaterstwem. Jako poeci głosili oni wszyscy jakieś wzniosłe, niepowszednie zasady, jako bohaterowie urzeczywistniali je. Prócz tego zasady przez nich głoszone i wyznawane były wyrazem ich własnych usposobień, i to takich, które pozwalały im zasady te osobiście wcielać w życie — nie zaś czczym wymysłem rozkołysanej wyobraźni, rzucającej gromkie i niepojęte hasła, puste wewnątrz i nieziszczalne, chociaż olśniewające i budzące podziw. Jeżeli wypowiadali słowa szczytne, to takie tylko, których byli żywem upostaciowaniem; jak ów żołnierz grecki pod Termopilami, co na groźby Persa, obiecującego zaćmić słońce swojemi strzałami, odpowiada ze wzgardą: to dobrze, będziemy walczyć w cieniu! — pewny także, iż słowu pięknemu odpowie nie mniej piękny czyn. Dla tego to nie trzeba być częstokroć niepospolitym człowiekiem, by zostać bohaterem, jak nie trzeba przemawiać mową bogów, by zostać prawdziwym poetą.

Autorowie pierwszej wystawy konstytucyjnej związku helwetyckiego, ci prości pasterze leśnych Kantonów, nie byli ani bohaterami w pojęciu tragedyi klasycznych, ani natchnionymi wieszczami; jednakże gdy sześć set z górą lat temu przyrzekli sobie: iż będą bronić się wzajem mieniem i ramieniem, to w słowach ich prostych więcej tkwiło poetycznego bohaterstwa i bohaterskiej poezyi, niż we wszelkich tego rodzaju wykrzyknikach uznanych bohaterów i przysięgach miotanych przez najwznioślejszych poetów. — Dla czego? — dla tego, że związkowi z Grütli słów swoich, na wiatr nie rzucali, i byli przygotowani szczytność słów wypowiedzianych potwierdzić również szczytną akcyą!

Bohaterowie, wstępując na drogę działania, wiedzą z gory, że posłannictwo ich przyniesie im dużo cierni, że mogą być chwile, w których sprawa, jakiej służą, będzie wymagała zupełnego zaparcia się samych siebie, nie odstręcza to ich jednak od niej, owszem, przykuwa mocniej i jakby zlewa ich z nią w jedno. Takim był skromy doktor Luther, gdy go ostrzegali przed niebezpieczeństwem podróży do Worms było tyle dyabłów, ile dachówek na domach jego; takim był Galileusz wobec luf karabinowych, mierzących w jego piersi (choć to inny już rodzaj bohaterstwa), Winkelried szwajcarski, wszyscy wielcy męczennicy myśli, wiary, wolności etc... Wszyscy oni wyróżniają się nieprzepartą chęcią uzewnętrzniania samych siebie w działaniu odpowiedniem — nie unikają go i pragną wciąż, by co prędzej zetrzeć się z tem, czego są zaprzeczeniem. Nie namyśla się bohater nad tem, jak ma działać, — drogę ma przed sobą od dawna wytkniętą, od której nie odstępuje, gdyż innego postępowania nie rozumie; nie liczy się on nawet z tem, czy warunki, w jakich działa, wróżą ma powodzenie; nie o powodzenie mu głównie chodzi, lecz o działanie w skreślony sposób; gdyby było inaczej, inny los możeby spotkał Hussów, Vezaliuszów, Giordano Brunów i t. p. — Mieć wyobrażenie o lepszem życiu zbiorowem i nic dla niego nie robić, być pewnym prawdy i nie wyznawać jej głośno, — tego nie przeniesie żaden bohater! Jakże innym jest poeta! Zacznijmy od powołania jego. Uważa on takowe najczęściej w istocie za rodzaj „bohaterstwa“; wydaje mu się, że głosząc wielkie zasady i dając wielkie hasła, już przez to samo złożył im siebie całkowicie w ofierze, że:

„zginął cząstką w trudów arcydziele —
i „skonał zwrotką w poświęcenia hymnie. —

Ale czyż dopprawdy poeta działa w myśl wyznawanych idei? (pomijamy tu tych, którzy działali). Bardzo rzadko; on tylko wyraża działanie, on tak śpiewa najczęściej, jakby chciał działać, gdyby to... Łatwiej się dawało i mniej wymagało energii czynnej, — on najpiękniejsze sny swoje i najśmielsze marzenia najczęściej tylko w słowie urzeczywistnia, — gdyż słowa jest tak jego żywiołem, jak czyn jest żywiołem bohatera. Powołanie jego to nie zaofiarowanie siebie innym, to nie walka ze złem cudzem, to przedewszystkiem uwalnianie siebie samego z podjarzma własnego, — gnębienie zła w sobie! Ofiara więc ta z siebie samego sprawia najpierw ulgę jeszcze pierwszemu. Jeżeli mamy poetów uważać za bohaterów, to komuż oddamy wśród nich jedno z pierszych miejsc, nie Goethe'mu! Niewątpliwie! A tymczasem ten „bohater“ poezyi twórczość poetycką uważał głównie jako czynność dobroczynną dla samego twórcy; kazał ludziom tworzyć, wypowiadać się, uzewnętrzniać w słowie — by uśmierzać własne niepokoje duszy i leczyć bóle moralne. Wiemy n. p., że Goethe swego „Werther'a“ pisał, by wyleczyć siebie z cierpień sercowych; że artyzm doradzał za pomocą malowania swych bólów, uwalniać się od nich i obudzać w sobie silne przywiązanie do życia; gdy widział kogoś smutnym, zakłopotanym, zgnębionym moralnie, powiadał mu, przypominając siebie podczas pisania „Werthera“: „róbcie tak, jak ja, wydajcie na świat dziecię, co was niepokoi, a nie będzie wam sprawiało więcej bólu“. Gdzież więc tu miejsce na działanie z myślą o wyzwoleniu innych z pętów złego? Gdzie tu dbałość o cele całej ludzkości?

W każdym wielkim poecie coś z powyższego usposobienia nieśmiertelnego twórcy „Fausta“ możemy odnaleść; dla tego, że taką jest w większości wypadków istota geniuszu artystycznego. — Geniusz artystyczny, to przedewszystkiem — szczyt egoizmu, to potężneześrodkowanie się indywidualności na niej samej z pragnieniem głębokiem i zazdrosnem najpełniejszego uzewnętrznienia się w wieczystych formach piękna — w słowie nie zgładzonem wiekami. Poeta, jako jedno z wcieleń geniuszu artystycznego, jest zazwyczaj oszczędnym w wydawaniu samego siebie, on wciąż skupia swe siły, by je zaprządz do głównego celu: wyrażenia najsilniejszego i najwszechstronniejszego jego własnej istoty. On w tem widzi swe powołanie i przekonanym jest, że tego człowieczeństwo całe od niego wymaga; jest zdania, że odsłaniając samego siebie, odkrywa ludzkości rzeczy wzniosłe, którychby inaczej nigdy nie oglądała, że daje jej w ten sposób prawdy, do jakich nigdyby bez tego nie doszła. Dla tego ceni tak wysoko swe siły twórcze i nie daje im się rozpraszać, pozostając wobec prawdziwych walk ludzkości o lepszą przyszłość obojętnym i pogodnym, jak ów Neptun Virgiliusza, co chociaż wzruszony do głębi, podnosi swe czoło spokojnie na powierzchni morza. Poeta wprawdzie przejmuje się bólami całego wszechstworzenia, wzrusza się niemi do głębi, ale poprzestaje najczęściej na ich odtworzeniu i zaznaczeniu — dbały także nie mniej o to, by przez to odtworzyć samego siebie i silnie podkreślić. On może poprzestać na tem i widzieć w tem najsumienniejsze spełnienie swych, względem ludzkości, obowiązków. Dobrze jeszcze, gdy się przenika treścią życia nieosobistego, gdy cierpi i „czuje za miliony“, — a wszak się nieraz

---

cieszyciel w tę noc okropną. Ty, zamordowany — ugodzony tą ręką!...

Teraz już rozumiem. Za to jedno morderstwo pokutuję i ta jedna wina jest zgładzoną. U bram śmierci ofiara moja wita mnie przyjaźnie. — Nie odpokutowałem zresztą niczego. Ztąd strach i męczarnia. Sprawiedliwość wymaga, abym zniósł więcej niż śmierć, abym cierpiał stokrotnie. Stokrotnie bowiem zabijałem. Dziś to rozumiem i człowiek musi odpokutować wszystkie swoje winy! Grzeszyłem wiele, o Boże sprawiedliwy, — wiele grzeszyłem! Posłuszny Twoim rozkazom cierpieć będę w pokorze i umrę....

— Panie dozorco! panie dozorco! — zawołał wśród nocy.

— Czy pan żąda czego? — mruknął wezwany przez okienko.

— Z głębi serca błagam was o księdza.

— Przyjdzie.

— Która godzina?

— Właśnie dwunasta.

— Dzięki Bogu, mam jeszcze sześć godzin!

zdarza, że najszczerzej wyznaje, że mało go obchodzą wszelkie nędze ludzkości, jej wysiłki, dążenia do lepszego etc.... Powiada on nieraz tak jak Théophile Gautier w pięknym wierszu swoim do „Młodego Trybuna“, że „są w naturze piękne rzeczy:

„Des rossignols oisifs, de paresseuses roses,*)
„Des poëtes rêveurs et des musiciens
„Qui s'inquiètent peu d'être bons citoyens,
„Sinon que tout est bien, pourvu qu'on ait la rime“.

i dalej:

„Qui' importent à ceux — là les affaires publiques
„Et le grave souci des choses politiques?
„Que leur font vos discours, magnanimes tribuns?
„Vos discours sont très beaux, mais j'aime mieux des roses...

Nie mamy jednak potrzeby udawać się po przykłady do tego rodzaju poetów co Théophile Gautier, — do wszelkich dawniejszych i współczesnych parnasistów, symbolistów i t. p. — którzy z niewinnym, dobrodusznym uśmiechem głosili zasadę: że piękna forma, konsonans piękny i rym wyszukany więcej znaczą w poezyi, niż treść głęboka i cele poważne; do tych, co przekręcali zdanie Terencyusza: „Homo sum, nihil humani a me alienum puto“, powiadając jak najszczerzej: „człowiekiem jestem, a więc wszystko co ludzkie nic mnie nie obchodzi“. U najgłębszych i często wzrok swój zatrzymujących na niedoli ludzkiej poetów odnajdziemy podobne wyznania, czynione w chwili szczerości! Wszak nie kto inny jak Zygmunt Krasiński, ów głęboki poeta-myśliciel, wnikający w najciemniejsze zakątki otchłani nędzy ludzkiej, rozumiał poezyę jako taką, co: „Ludziom zostawi wszystkie dżdże ich i burze, a sobie weźmie błyskawice — i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wiecznem i o wybranych, kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę“. (Listy do Gaszyńskiego 46, str.).

A czyż trzeba wspominać tu o tych wszystkich niezrównanych lirykach, których więcej było wśród poetów niż bardów na podobieństwo Tyrteusza — wszystkich Byronów, Leopardich, Mussetów, Lenauów, Heine'ych etc. etc., dla których najgłówniejszą w świecie sprawą byli oni sami: ich cierpienia, ich osobiste męczarnie, o jakich niezmęczenie nam śpiewali, wykazując ich wielkość i niepospolitość.

---

*) Słowiki próżniacze, leniwe róże,
Poeci, marzyciele i muzycy,
Którzy nie troszczą się o to, by być dobrymi obywatelami,
Wszystko ma się dobrze dla nich, byleby się miało rym.

Cóż takim znaczą sprawy publiczne
I poważna troska o rzeczy polityczne?
Czemże są wasze mowy, wspaniałomyślni trybuni?
Są one bardzo piękne, — wolę jednak więcej róże.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Niemcy w oczach francuzkich.

(Th. de Wyzewa. Chez les Allemands. L'Art et les moeurs. Paris, 1895.)

Francuzi zaczynają się zajmować Niemcami. Od czasów pani de Staël nie było takiego zagłębiania się w duszę niemiecką, jak obecnie. Rozdraźnienie, wywołane klęską 1870 roku — powoli łagodnieje i Francuzi powracają do dawnych pojęć o Niemcach takich, jakie wygłaszał Michelet, Balzac, Renan, Taine. Niemiec — była to dla nich postać mędrca i marzyciela, pogrążonego w ideach ogólnych, zdolnego do najszczerszych uczuć humanitarnych. Nie znali oni jeszcze krzyżackiej, zaborczej strony ducha niemieckiego, którą im objawił dopiero rok siedemdziesiąty. Wówczas to Niemiec wydał się im jako barbarzyniec germański, niegorszy od Cymbrów, Teutonów i Wandalów. I długie lata minęły, zanim Regnard ośmielił się puścić w świat rozprawę o wpływie Niemiec na Francyą w ciągu ostatnich lat dwudziestu. Później o. Didon ogłosił rodzaj tacytowskiej księgi o Niemcach, którym przypisuje wysokie zdrowie moralne, czerstwość ducha i siłę charakteru, zamierające w jego ojczyźnie. Świeżo zaś jeden z profesorów Sorbony zachęca Francuzów do studyowania kultury i dziejów niemieckich i nawet zakłada towarzystwo, poświęcone tym badaniom. Ostatnio, nakoniec ogłosił p. de Wyzewa (Wyzewski) dzieło o Niemcach, z innego rozważając ich stanowiska. Książka jego rozpada się na dwie części, z których pierwsza maluje Niemców przeszłości, Niemców idealnych — prymitywnych malarzy niemieckich, którzy już tylko w muzeach żyją; druga zaś — Niemców rzeczywistych, żywych Berlińczyków współczesnych. Wielkie jest przeciwieństwo między pierwszą a drugą częścią: o ile autor zachwyca się zamarłą sztuką gotycką, o tyle potępia Berlin współczesny. Przyznając prowincyi niemieckiej te cnoty, jakie w nich widzi p. de Staël i o. Didon, w Berlinie znajduje tylko siłę rozkładającą Niemcy moralnie i fizycznie.

P. de Wyzewa ma rzadką zaletę literacką: jest on oryginalny. Lubuje się jednak w paradoksach i z tego wynika, że uwagi rozumne mieszają się u niego z wielkiemi dziwactwami.

Autor uważa siebie za „duszę delikatną“ i z tego właśnie stanowiska sądzi naród niemiecki. Termin ów, dusza delikatna — byłby może doskonały na określenie współczesnego mieszczanina — artysty paryzkiego, gdyby nie to, że przypomina wielce la tendresse z końca XVIII wieku. Dla tego rażą p. Wyzewę niektóre surowości duszy niemieckiej, te same właśnie, któremi się zachwycają profesorowie lub surowy ksiądz Didon. P. de Wyzewa jest artystą i dla tego więcej mu się podobają muzea niemieckie, niżeli żywi Niemcy. Sprzeczność tych dwóch światów i sympatye autora dla pierwszego (świata starych płócien) wywołały ostrą krytykę świata ludzi żywych. Przez dziwną sprzeczność ta druga część opracowaną jest daleko pełniej i lepiej, niżeli część pierwsza, która nosi tytuł: „Podróż do prymitywów niemieckich“. Autor zatrzymuje się w Augsburgu, Monachium i Wiedniu: ogląda obrazy Cranacha, Holbeina, Dürera, Zeitbloma, Wohlgemutha, Burgmaiera i innych — i jako zwolennik prerafaelizmu twierdzi, że Niemcy, opuściwszy te wzory swojej prawdziwej sztuki narodowej, wykoleili się i na fałszywą poszli drogę; autor poświęca tym mistrzom gotyckim, jak również i katedrze augsburskiej — słowa pełne zachwytu, a w Wiedniu ma sentymentalny pomysł odwiedzenia grobu Beethovena, któremu składa hołd w modlitwie. Głównie jednakże w tej pierwszej części swojej książki p. de Wyzewa zajmuje się samym sobą; jest tu zresztą dużo uczuciowego humoru „duszy delikatnej“, która opuszcza troski codzienne i pogrąża się w marzycielskiej poezyi życia koczowniczego. Część druga, p. t. „Życie i obyczaje Niemiec współczesnych“ jest znacznie bogatsza treścią i więcej na świat zewnętrzny zwrócona. I raz jeszcze — zanim spojrzy na czasy dzisiejsze — wspomina autor przeszłość. Ta przeszłość wcale nie zamarła, żyje ona na prowincyi, taka sama prawie, jaką malowała niegdyś p. de Staël: życie to było proste, cnotliwe, surowe, jednostajne — lecz oblane promieniami marzeń bez przedmiotu (Sehnsucht) i dobrotliwego humoru (Gemüth). Anti-pruski autor dziełka „Rembrandt als Erzieher“ powiada: „Muzyka i honor, dzikość i litość, naiwność dziecka i miłość niepodległości, indywidualizm i idealizm — oto są cechy istotne natury niemieckiej“. Jest tu oczywiście nieco dumy narodowej w tem określeniu, autor bowiem zapomina rozszerzyć cechę dzikości, która dochodzi nieraz granic blizkich ludożerstwa, zarazem zmniejszyć rzekomą naiwność dziecinną Niemców. Heine mówi o Niemcach, że są to dęby sentymentalne a Luter, jest dla niego — i słusznie, mieszaniną mistyka-marzyciela z człowiekiem czynu; przyczem Luter jest dla Heinego „najbardziej niemiecki Niemiec“. Jego książka „Niemcy“ jest to apoteoza mistycznej poezyi niemieckiej — wbrew ścisłej i prozaicznej sztuce ras łacińskich.

Tak więc ciągle widzimy tu Niemców jako sentymentalnych marzycieli i entuzyastów, u których byle co staje się herrlich, famos, wunderbar i colossal! Zwłaszcza uderza ich wszystko zagraniczne; mają oni zbyt mało przesądów narodowych; cześć dla Francuzów jest u nich wszechmocną i ogłupiającą. Zachwycają się oni i swoją ojczyzną, ale niejako oficyalnie, ponieważ tak wypada. Towarzysz podróży p. de W., patrząc z okien wagonu na krajobrazy nadreńskie, co chwila wołał: wunderbar, poczem dodał, mówiąc do W.: „My, Niemcy, mamy obowiązek zachwycać się swoją ojczyzną; ale wy, Francuzi, nie macie go — i byłoby szaleństwem, gdybyście to czynili“.

Są to myśli i wrażenia z wagonu. Nakoniec przybywa autor do Berlina i całą mu resztę książki poświęca. I tu, jak wszędzie, zaczyna p. de W. od uogólnień i dopiero potem idzie do szczegółów. Aby studya swoje nad charakterem niemieckim ułatwić, dzieli je na trzy części: zmysły, uczucie i inteligencya, wola i działanie.

Cechą ogólną, jaka uderza w Niemcach jest ich niezgrabność, ciężkość, brak wszelkiej wykwintności, czego żadna cywilizacya z nich zetrzeć nie zdoła. Niezdarność ta zewnętrzna polega na tem, że pięć zmysłów niemieckich pozostało na stopniu najpierwotniejszym, że nie ma w nich tego, co psychologia nazywa ukształceniem wrażliwości, że nie są oni zdolni do rozróżniania odcieniów wrażeń.

Niemcy nie umieją jeść. Kuchnia niemiecka jest jednostajna, bez smaku — nie idzie im o jakość, lecz o ilość. Nie rozumieją oni przyjemności eleganckiego urządzenia stołu. Większość nie jada w domu; obiad połykają prędko i w milczeniu. Serwetek w wielu restauracyach wcale nie podają. Zwyczaj wsuwania nożem potraw do ust, bardzo rozpowszechniony. (Tout comme chez nous). Ten sam brak poczucia rozmaitości — w piciu. Niemcy piją dużo, ale piją tylko piwo i — nic więcej. Sztucznie chcą niektórzy wywołać tę rozmaitość i dla tego założono kilka Weinrestaurationen, gdzie nie wolno pić piwa, ale zakłady te bankrutują.

Toż samo co do powonienia: użycie perfum rozpowszechnione więcej, niż gdziekolwiek, ale jest to wiecznie jedna i ta sama woda kolońska. Słuch: zamiłowanie muzyki namiętne, Niemiec bez muzyki obejść się nie może, w najmniejszej wiosce są Sangvereiny i Musikvereiny; ale obojętność zupełna na to, co grają. Niemiec pragnie tylko, aby mu coś w uchu brzęczało. Koncerty i teatry dają kolejno Beethovena, Straussa, Schumana, Suppégo, Wagnera i Millöckera — a publiczność z jednakowym spokojem wszystko to przyjmuje.

Wzrok zdaje się najgorzej rozwinięty: domy, sklepy, mieszkania, kostiumy w najdzikszych, najniegustowniejszych barwach, bez myśli, bez poczucia, bez wdzięku — mieszanina stylów bezładna i dysharmonijna.

Kobiety ubierają się bez gustu. Postawa mężczyzn sztywna i automatyczna: wszystko wyuczone, nic lekkiego i samoistnego w gestach. Przytem — skutkiem zapewne braku finezyi zmysłów — Niemcy są ordynarni i niegrzeczni dla kobiet; kobieta w ich myśli zajmuje daleko mniej miejsca, niż piwo lub tytoń. Ostatecznie więc zmysły Niemców nie uległy zepsuciu, ale też się nie rozwinęły; są oni takimi barbarzyńcami pod tym względem, jak Germanie Tacyta.

Dziwną sprzeczność z cielesnem nieokrzesaniem, upośledzeniem zmysłów u Niemców, stanowi pewna poezya marzycielska i sentymentalna, która się tu wdziera w najdrobniejsze szczegóły życia. Jest to Gemüth, który oblewa życie Niemców pewną atmosferą idealną; mowa niemiecka jest pełna metafor i abstrakcyi; naj-

prostsi ludzie z byle jakiego powodu wspominają ptaki, gwiazdy, kwiaty.

Siadając do stołu, mówi się „Gesegnete Mahlzeit“. Narzeczeni obowiązani są do pewnej liczby Mondschein Spaziergangów. Dziewczęta mają mało inteligencyi, ale dużo wyobraźni, a w oczach ich maluje się słodkie marzenie bez przedmiotu, niewyraźna potrzeba czułości, jakby oczekiwanie rycerza zaklętego. Lohengrin, na którego czekają, jest to zazwyczaj lejtnant w niebieskim mundurze, ale że oficerom żenić się wolno tylko z oznaczonym posagiem, więc profesor stał się tym ideałem i wiele panien pokochało profesorów na samą wieść ich sławy.

Gemüth składa się z marzenia i wzruszenia; marzenie powstaje z braku idei określonych a wzruszenie, z niem powiązane, jest również bezkształtne i powierzchowne.

Niemcy nie mają woli; brak im inicyatywy i autonomii moralnej; czują oni potrzebę posłuszeństwa. Fryderyk W. mówił, że go męczy panowanie nad tym narodem niewolników.

Duch jednomyślności i regulaminu, duch pewnej dyscypliny karnej i niwelującej, nigdzie jak tu nie jest rozpowszechniony.

Wszystko tu jest automatyczne: nawet partye przeciwne, każda w swojem kole są urządzone w sposób koszarowy. Studenckie Vereiny, są to zgromadzenia, na których młodzież pije, mówi, śpiewa — zgodnie z nakazem prezesa. Vereiny te, mając dać studentom rozkosze koleżeństwa, podnoszą w nich tylko przyrodzony smak regulaminu.

Toż samo znajdujemy w dziedzinie artystycznej i literackiej: dla siebie są oni czasem bardzo oryginalni, ale dla świata chcą być „jak wszyscy“ — i układają swe opinie podług większości i rzeczy uznanych.

Wychowanie szkolne w Niemczech niemniej łamie samodzielność. Ztąd brak wiary w siebie i uwielbienie obcych, szczególnie Francuzów i Anglików. Niemcy (podług p. de W.) nie stworzyli oryginalnych idei, nawet przesławiona filozofia niemiecka jest importowana ze Szkocyi; Kant, Fichte, Szelling, Hegel, Szopenhauer — automatycznie, jakby bezwładnie — rozwijali myśl Hume'a. Tę samą automatyczność widzimy wszędzie: rzeczy bezwładne same się nie poruszają, lecz raz puszczone w ruch już się zatrzymać nie mogą; tak się rozwija automatycznie w Niemczech socyalizm, antisemityzm, bezreligijność, nienawiść ku Francuzom i t. d. W Niemczech klasy społeczne bardziej są niż gdzieindziej podzielone, ale wewnątrz każdej klasy panuje jednomyślność potrzeb, uczuć, dążeń i ambicyi.

Taka dyscyplina wytworzyła się, dzięki warunkom historycznym — na tej dyscyplinie opierała się prostota obyczajów i stara cnota niemiecka. Ale te zaczynają znikać a źródłem rozkładu i zepsucia jest Berlin. I rzecz godna uwagi — demoralizacya, jaką Berlin po całych Niemczech rozsiewa płynie z tą samą siłą automatyczną i epidemiczną — jak wszystko w Niemczech. I tu znajdujemy ową militarną, regulaminową jednomyślność.

Berlin — jest to miasto, które nie więcej istnieje, jak lat 30—40 i bezustannie się zmienia. Przepych olbrzymi, złocenia, barwy jaskrawe, budowle dziwaczne; ale jest to miasto niemiłe, antypatyczne i nudne; nie znaczy to, aby Berlin nie miał być wesoły: owszem, zabawy tu dużo, ale jest coś w Berlinie, że go kochać nie można. Nietylko Francuzi, jak Voltaire, Pesne, ale i Niemcy: Chamisso, Mozart, Goethe, Szyller — nienawidzili Berlina. I dziś każdy Berlińczyk, chwaląc ex officio Stadtbahn, straż ogniową, światło elektryczne, przyznaje po cichu, że jak tylko załatwi interesa — wyjedzie na prowincyę.

Berlin nigdy nie był niczyją ojczyzną; tu się nikt nie urodził; Berlin to nie miasto, to ogromny jarmark, gdzie się zarabia lub wydaje pieniądze.

Wszystko tu fałszywe: nigdzie nie sprzedają tylu fałszywych brylantów, co w Berlinie, a „pod Lipami“ są fałszywe lipy-kasztany. Prawdziwych Berlińczyków niema: na półtora blizko miliona mieszkańców było ledwie pół miliona tu urodzonych; milion ludności obcej, z różnych stron Niemiec zgromadzonej; większość żyje tu tymczasowo; tysiąc na sto tysięcy sprowadza tu rodzinę.

Upadek starych obyczajów, rozkład życia rodzinnego i dawnych tradycyi domowych; wzrost anormalny rozwodów, prostytucyi, kradzieży, kawiarni, teatrów, miejsc rozkoszy; mieszanina przepychu na zewnątrz i skąpstwa wewnątrz; płytkość umysłowa i niezdarna lekkość — rzeczy tak nowe u Niemców — to wszystko wpływ Berlina.

Zewnętrznie Berlin jest karawan-serajem o bezładnych barwach i bezkształtnych budynkach. Wewnątrz mieszkań meble ciężkie, wyzłacane, różnostylowe: ani domy, ani meble nietrwałe; nic łatwiejszego, jak zwalić się murom i sprzętom się rozpaść. Prawie nikt własnych mebli tu niema: wszyscy mieszkają w pokojach meblowanych: lekarze, adwokaci, kupcy, nawet i żonaci. Berlin jest to wielki hotel dla przejezdnych.

Ulica Friedrichstrasse — rozpaczliwie długa i jednostajna. Wystawy sklepowe bez smaku, jak wszystko: witryny aż do ziemi, a w oknie wystawione wszystko niemal, co jest w sklepie. Piekarnie i jatki mięsne — które tak pięknie kolorują ulice Paryża — są tu biednemi sklepikami. Natomiast składy cygar odznaczają się zbytkiem fantastycznym. Gust do jednostajności widać wszędzie: masa bazarów, w których wszystko po jednej cenie za 3 mr., za 2 mr., za 50 fen. — przedmioty najrozmaitsze, bez ładu i składu. Taniość i szyk znaczy tu najwięcej.

W szczególny sposób przekręcają Niemcy znaczenie wyrazów francuzkich, które przyjęli: délicatesse oznacza u nich wędliny, galanterie — wyroby niciane, a matérialiste — jest to kupiec materyałów aptecznych (nawiasem mówiąc, znów: tout comme chez nous).

P. de W. nie znajduje w całym Berlinie dobrego teatru, a nawet wykonanie jest niesumienne i niestaranne. Piwiarnia opanowała wszystko. Nikt nie żyje u siebie. Wszystko odbywa się publicznie. Niema wcale poczucia dyskrecyi. Jeszcze jeden wynik niedelikatności niemieckiej. W gazetach ogłasza się wszystko: narzeczeni zapewniają się o miłości, mąż skarży się na żonę, a ojciec na syna.

Kościół i nabożeństwo jest tylko miejscem rendez-vous, gdzie można usłyszeć ładną muzykę i pogawędzić. Zresztą, zaraźliwie się rozwija niereligijność; u socyalistów niemieckich wojna przeciw religii daleko więcej miejsca zajmuje, niż u socyalistów francuzkich.

Natomiast muzeum, które w niedługim czasie będzie najpiękniejszem muzeum na świecie, licznie bywa odwiedzane w niedzielę. Po południu w niedzielę ludność berlińska jeździ za miasto, do licznych Laubenstadt'ów podmiejskich. Osobliwy zwyczaj zapanował tu, że „rodziny same gotują kawę“, o czem osobne szyldy zawiadamiają.

Wobec tego nowego życia — szlachta niemiecka niezdolną jest przystosować się do jego warunków — i albo korupcyi ulega — albo na wieś ucieka. Młodzież rycerska psuje się w zetknięciu z stolicą: w momencie, kiedy p. W. był w Berlinie, w krótkim przeciągu czasu miały miejsce trzy samobójstwa młodych szlachciców. Szlachta mały udział przyjmuje w życiu berlińskiem, jak niemniej armia. Jednak w armii właśnie, śród oficerów, przepisami niejako skazanych na odosobnienie, znalazł p. de W. najwięcej „dusz delikatnych“, najwięcej zrozumienia nowych prądów literackich i artystycznych. Wiadomo, że najlepszy z dzisiejszych poetów niemieckich, Lilienkron, jest oficerem.

Natomiast obszerne miejsce w życiu berlińskiem zajmują żydzi, którzy tu bynajmniej się nie zleli z narodem, jak to jest we Francyi lub Anglii, lecz zachowują pewne cechy specyalne, trzymają się oddzielnie i stanowią jakby korporacyę, bardzo solidarną. Antisemityzm jednak berliński jest tylko opinią metafizyczną i niczem poważnem nie grozi. Jednakże kupcy berlińscy chcą wyprzeć żydów, zwłaszcza z handlu i założyli w tym celu ogromny magazyn, w rodzaju Luwru paryzkiego, magazyn, który tem się od wszystkich innych sklepów odróżnia, że nie ma żadnej wystawy i wygląda na rodzaj biura, którego kupcy mają minę surowych biurokratów.

Robotnicy mają wielkie ułatwienia pod względem wykształcenia i wychowania dzieci; nadano im prawa wyborcze i mają wolność stowarzyszeń. Ale za to są oni źle płatni, źle żywieni i — przeciążeni robotą; 18—24 marek tygodniowo — to ich zarobek; kobiety zarabiają dziennie nie więcej nad 1,50. Mają oni jednak bardzo tanie kuchnie, gdzie porcya kosztuje 25 fenigów; ale — na nieszczęście — robotnik niemiecki wydaje większą część swego zarobku w „destillation“ (szynku). Tak mówi p. de W. Szynki te są zwykłe w suterenach, w których całe niemal życie robotnika upływa. Mieszka w suterenach, jada w nich, pija. Suteren w Berlinie w r. 1881 było 23,289; w nich liczono 100,031 mieszkańców. Szynków było 9000. W sobotę całą noc szynki są pełne.

Zebrania robotnicze noszą czysto niemieckie cechy jednomyślności; mówca przemawia a słuchacze piją piwo i od czasu do czasu wołają: recht! sehr richtig!

Socyalizm rozwija się epidemicznie; Bebel zorganizował go militarnie, na wzór istniejącego porządku. W Berlinie liczą dziś 200,000 socyalistów. Autor jednak sądzi, że socyalizm berliński nie przedstawia nic niebezpiecznego: jest to dla nich szereg zebrań publicznych, na których można pić, klaskać i oburzać się do woli. Wszelki wybuch przerwałby te przyjemności.

Inne grożą Berlinowi niebezpieczeństwa: rozpowszechnienie kradzieży i prostytucyi. W r. 1873 było 38,464 kradzieży; w r. 1881 było ich 141,000, w r. 1890 dwa razy tyle. I armia przestępców jest zorganizowaną militarnie i ma swój regulamin. Prostytucya również rośnie przeraźliwie: w roku 1884 na 9421 kobiet aresztowanych zatrzymano 8707 za prostytucyę. W ogóle biorąc, w tym samym czasie, kiedy ludność Berlina wzniosła się o 20 proc., prostytucya urosła o 50 proc. Statystyka oczywiście wspomina tylko o dziewczętach zapisanych, ale niewątpliwie jest jeszcze ogromna kategorya prostytutek niezapisanych. Rozrost prostytucyi jest wynikiem ciężkich warunków bytu, ale też jest dziełem Berlina: na tym jarmarku, gdzie znika poczucie życia rodzinnego, nic innego być nie może... Inną klęską Berlina są rozwody. Rozpowszechnia się też t. zw. wilde Ehe (życie na wiarę).

Takim jest Berlin. Jak widzimy, autor maluje go bardzo czarno. W tem mieście prowizorycznem — wszelka moralność stała się prowizoryczną. Moraliści i kaznodzieje nic nie pomogą, dopóki Berlin zachowa tę cechę nagle zbudowanej w środku Niemiec, ogromnej budy jarmarcznej.

Autor dodaje taką anegdotkę: Pewien podróżny zajechał do jakiejś wioski i napotkał w niej tylko kulawego żebraka: ztąd wniosł, że wszyscy mieszkańcy tej wioski są żebrakami i kulawymi. Może — powiada p. W. — i ze mną tak było. Nam się zdaje, że to bardzo być może....

A. Lange.

MŁODA POLSKA.

Pod tytułem „Kartka z życia umysłowego Poznania“ pojawiła się w wiedeńskim tygodniku „Przełom“, organie posłów Lewickiego, Szczepanowskiego i Rutowskiego, następująca ocena działalności „Młodej Polski“ na gruncie poznańskim. Artykuł „Przełomu“ jest wymowną odpowiedzią na pamflet „Przeglądu Polskiego“, powtórzony skwapliwie w „Kuryerze Poznańskim“. Z tego jedynie powodu przytaczamy go w brzmieniu dosłownem:

„Przywykliśmy już niemal od zaboru pruskiego żądać mniej dowodów narodowej żywotności, niższą mierzyć skalą życie umysłowe tej dzielnicy, niż ta, którą przykładamy do Galicyi lub

Królestwa. Powody tej różnicy są bez wątpienia ważne; znając je, nie możemy wydawać surowego sądu o nielicznem społeczeństwie, które najlepsze swe siły zużywać musi w ciągłych utarczkach politycznej walki, bronić się od zalewu germańskiej narodowości, a co jeszcze trudniej, od germańskiej kultury, bądź co bądź wyższej niż nasza. Pomimo to przecież trudno zaprzeczyć, że brak tam ludzi, którzyby krytyce poddali istniejące stosunki, a siłą własnej inicyatywy zwyciężyć potrafili ospałość i niechęć otoczenia. Najlepszym tego dowodem fakt, że w ciągu ostatnich lat piętnastu, a więc od chwili zamknięcia księgarni Żupańskiego, która wydawała nawet dzieła wielkie i poważne, ruch wydawniczy ogranicza się niemal do literatury dziecinnej, ludowej i dewocyjnej, i że radzi być musimy, skoro przynajmniej z zakresu literatury kościelnej ukaże się jakieś większe dzieło, dowodzące jeżeli nie dzisiejszej, to dawnej żywotności naszego narodu, jak n. p. *Monumenta musicae sacrae in Polonia*, wydane w ciągu ostatnich lat kilku przez księgarnią Leitgebra.

Nie mam przecież zamiaru poddawać ocenie ruchu wydawniczego, czy umysłowego wogóle, ale radbym zwrócić uwagę czytelników na pocieszający objaw, który zapowiadać się zdaje, że mijają owe czasy zastoju, że postępowa myśl polska potrafiła stworzyć na poznańskiej pustyni oazę, tem bardziej zastanawiającą podróżnika, iż jest jedyną. Redakcya tygodnika treści literacko-społeczno-politycznej „Przeglądu Poznańskiego" jest ogniskiem, dokoła którego skupiła się niewielka dotąd garstka ludzi młodych, zdolnych, którzy istniejące stosunki przeobrazić postanowili, oczyścić atmosferę z miazmatów zgnilizny, odświeżyć prądami, jakie panują w europejskiej literaturze i filozofii.

Zadanie to w istocie niełatwe: na każdym kroku potknąć się można o przeszkody w postaci apatyi, bierności i obojętności społeczeństwa, które zamiast pomocy, dodaje niechęć, najlepsze zamiary unicestwia przez osobiste intrygi, a nieraz i potwarz. To też garstka, która sama siebie nazywa „młodą Polską", walczyć musi na każdym kroku z partyą starszej inteligencyi, grupującej się koło „Dziennika" i „Kuryera". Ta ostatnia ma przed sobą tradycyą, oficyalne przedstawicielstwo w parlamencie, a przedewszystkiem zadowolnienie z istniejącego *status quo*.

Napróżno tryumfowano, że wszelkie idee postępu i przewrotu, wszelkie *izmy*, które tak bujnie rozpostarły się w państwie niemieckiem, Poznań omijają, że stosunki są w Księztwie niemal patryarchalne, nie bacząc, że patryarchalizm ten tak potężnie dopomógł do zniemczenia prowincyi i takim obszarom polskiej ziemi przejść pozwolił w obce ręce. Dziś wszystkie te nowe prądy nieśmiało zrazu, ale coraz otwarciej występują w utworach literackich, scenicznych, w odczytach i zgromadzeniach, urządzanych przez „młodą Polskę".

Mniejsza, że ludzie, którzy przez lata całe siedzieli przy jednem redakcyjnem biurku, nie znają się dziś wcale, o co nie łatwo w małym Poznaniu, ale że rozjątrzenie wzajemne doszło do tego, iż „starsi" paraliżować się starają najlepsze chęci i usiłowania „młodych", to smutny objaw. Wpływa on ujemnie na samą treść umysłowej roboty, wywołuje rozgoryczenie, zniechęca i rozstrzela siły, które jedynie na walkę z wrogiem narodowości i kultury skierowane być powinny, a i tak niemałe mają zadanie z budzeniem niechętnego i zabagnionego społeczeństwa.

Nie jest to przecież przesada, jak dowieść tego można na dziejach ostatniego półrocza chociażby. Wystarczą dwa drobne, ale charakterystyczne fakty.

Jak wiadomo, przy ostatniem głosowaniu nad ustawą przewrotową w parlamencie niemieckim, oświadczyło się Koło polskie przeciw projektowi, zarówno w przedłożeniu rządowem, jak i w opracowaniu komisyi. Opozycyę swoję Koło motywowało zgubnym wpływem, jaki na losy narodowości polskiej wywierają wszelkie prawa wyjątkowe. Społeczeństwo, a więc wyborcy powinni byli w tem postanowieniu przedstawicieli swojich poprzeć i potwierdzić. Setki petycyi od miast, prowincyi i grup nadpływały do parlamentu, protestując przeciwko ustawie. Gdyby przeto narodowość najwięcej uciśniona w państwie, dla której ustawa stać się mogła kneblem, tamującym przejaw wszelkiej swobodniejszej i narodowej myśli, zachowała się wobec niej biernie, byłoby to dowodem nie już ospałości politycznej, ale podłem tchórzostwem. Zdaje się przeto, że w interesie wszystkich partyi leżał jak najenergiczniejszy protest. Cóż się jednak dzieje?

Oto dwaj przedstawiciele „młodej Polski" i redakcyi „Przeglądu Poznańskiego" dr. Krysiewicz i dr. Władysław Rabski zwołują zebranie wyborców miasta Poznania.*) Publiczność jednogłośnie oświadcza się przeciwko ustawie, potępia wszelką chwiejność posłów swoich w parlamencie. Potępia również bezwzględną tajność uchwał, jaką otaczają się parlamentarni jej przedstawiciele, żądając informacyi o wyniku obrad i głosowań, o ile to nie sprzeciwia się chwilowym interesom politycznym. Zgromadzenie udało się. „Dziennik Poznański" nawet wyraźnie antirządową przybrał postawę, a społeczeństwo bez wyjątku niemal oświadczyło się za wnioskami mówców. Poza słuszną sprawą stały przecież osobistości znienawidzone, inicyatorowie zgromadzenia. Młodzi pozyskują popularność, przemawiają do szerokiego koła, które nie syka, lecz przyklaskuje!

Rozpoczęła się tedy gorąca walka, a nawet osobiste wycieczki. „Nienawiść dzienników, jak odpowiadając na nie, wyraża się „Przegląd", do pewnych grup i jednostek politycznych przerodziła się w jakąś manją, zagłuszającą najelementarniejsze postulaty szlachetności, taktu i parlamentaryzmu"...

A oto drugi fakt z innej dziedziny społecznego życia. Redaktor „Przeglądu", p. Władysław Rabski jest zdolnym autorem dramatycznym, a z dwóch sztuk, jakie dotąd napisał („Asceta" i „Zwyciężony"), przegląda znajomość warunków scenicznych, dużo subtelnego i świeżego uczucia, a zwłaszcza prawdziwy talent. „Zwyciężonego" wybrał w marcu, czy lutym na benefis swój artysta Sosnowski. Dyrekcya niechętnie wybór ten przyjęła, ale sztuka zapełnić mogła pusty zwykle przybytek Melpomeny, ustąpiono więc żądaniu artysty.

Przed benefisem agitowano wedle sił dla zabicia sztuki. Podobno zamierzano urządzić nawet skandal na paradysie, ale na te głuche wieści niema dowodów. Faktem jest przecież, że dla utrzymywania spokoju rozmieszczono w teatralnym gmachu sześciu policyantów. Jeden z tych stróżów porządku publicznego zbliżył się z protekcyonalną miną do autora, poklepał go po ramieniu i zapewnił, „że może być spokojnym, gdyż on czuwa nad porządkiem"...

Tymczasem kurtyna się podnosi, rozpoczyna się dramat; akcya rozwija się żywo i swobodnie, po scenie poruszają się prawdziwi ludzie, wielkopolskie typy z wielkopańskiego dworu, i trochę może obce na poznańskim gruncie postacie demagogów-polityków, oraz utalentowanego publicysty, bohatera dramatu, Zygmunta Wolskiego. Sztuka ma tło polityczne: naprzeciw siebie stają dwie partye. Szlachta, dla której polityka służy za sposób do podtrzymania wpływu, bezwzględna, nieprzebierająca w środkach, bo tu chodzi dla niej o śmierć i życie, o zachowanie dotychczasowego stanowiska w hierarchii społecznej, mierzy się z opozycyą demokratyczną. Ideologicznych pierwiastków wśród tej ostatniej niewiele, ale silnymi rysami nakreślony obraz typów przedstawicieli ludowych, szorstkich, ale uczciwych, którzy istotnie mają zamiar służenia interesowi kraju, którego są użytecznymi obywatelami.

Jakkolwiek tendencya ważny stanowi w sztuce pierwiastek, to przecież nie występuje ona na plan pierwszy, który zajmuje raczej wiecznie świeża i młoda historya ludzkiego serca. Trybun ludowy Wolski jest prawdziwym człowiekiem, a więc umie czuć głęboko, kochać gorąco i szczerze, nie rachując się przytem z szablonem politycznych swoich przekonań. To właśnie sprowadza katastrofę: wobec żony, pochodzącej z wrogiego hrabiowskiego obozu, zachwiał się, osłabł na chwilę i demokratyczny obóz uważać go może za zdrajcę, bo zapomniał o jego interesach wobec uczuć swych osobistych. Pogarda dawnych druhów łamie Wolskiego i zabija domowe jego szczęście: rozstaje się z żoną, która powodem była moralnego jego bankructwa....

Prawdziwie ludzki, dramatyczny pierwiastek sztuki oddziałał na publiczność; frenetycznym oklaskom i wywoływaniom autora nie było końca, entuzyazm ogarnął zebranych. Policya okazała się zbyteczną. Nazajutrz żadne z pism codziennych nie dało sprawozdania o sztuce, dopiero w kilka dni potem ukazały się długie recenzye z mnóstwem nauk, wskazówek, obniżające wartość dramatu do minimum, choć wszystkie przyznawały autorowi talent.

Sądzę, że te dwa epizody wystarczą dla scharakteryzowania trudności, z jakiemi młody duch postępowy walczyć musi, i wyświetlenia stanowiska, które „młoda Polska" zająć musiała na razie, aby przygotować grunt dla przyszłego działania.

Przedewszystkiem grupa ta jest dotąd bardzo niewielką: liczy ona zwolenników wśród różnych warstw inteligencyi, a więc prawników, lekarzy, nauczycieli, kupców, są nawet i rzemieślnicy, którzy do solidarności z inteligencyą się poczuwają. Nietyle Poznań, co prowincya dostarcza tu członków, wogóle jednak dla stworzenia politycznej partyi, a więc takiej, któraby nietylko potrafiła krytykować, ale postawiła również program pozytywny, ludzi jeszcze brak. Trzeba tu więc przedewszystkiem obudzić ruch umysłowy, wywołać zainteresowanie dla spraw literackich, filozoficznych, dla wytworów sztuki i literatury narodowej, trzeba poddać krytyce różne postulaty etyczne i okazać ich względne znaczenie, wyrobić moralne prawa swobodnego wypowiadania dla wolnej myśli i krytyki, słowem oczyścić atmosferę zatęchłą, w której tak dobrze było żyć i oddychać różnym lokalnym wielkościom. W takich warunkach pojawienie się pisma tygodniowego, któreby nietyle miało na uwadze sprawy dnia, co zagadnienia zasadnicze i kulturalne, pierwszorzędną było potrzebą.

Przed półtora rokiem też z pośród „młodej Polski" wyłonił się rodzaj towarzystwa akcyjnego o nizkich wkładach, za które założony został tygodnik „Przegląd Poznański". Na redaktora wybrano wspomnianego wyżej dr. Władysława Rabskiego, najwybitniejszą i najruchliwszą z pośród „Młodych" osobistości. Poza redaktorem stoi wielogłowy komitet, który zawiaduje funduszami i rozstrzyga najważniejsze redakcyjne kwestye. Program pisma nie od razu wystąpił jasno i kto wie, czy nie było to błędem, pomijał bowiem sposobność wytworzenia stronnictwa politycznego; nie stał się również „Przegląd" rzecznikiem jasno określonych filozoficznych, estetycznych, czy społecznych poglądów. W ciągu roku przecież redakcya zdołała się wypowiedzieć, a samo życie i jego rozwój zaznaczały ramy, w których „Przegląd" w przyszłości działać będzie.

W polityce uważać możemy nowe pismo za wyraz opozycyi przeciwko dotychczasowej, niepopularnej polityce Koła polskiego w Berlinie. Jest on organem demokratycznym, jakkolwiek za wyraziciela dążności jakiejkolwiek partyi, czy warstwy społecznej uważać go nie możemy. Walka z niemieckiemi żywiołami, którym zawsze niedość wpływu i panowania, które nietylko w urzędach, w szkole, w prasie, ale nawet z katedr profesorskich w Berlinie podszczuwają przeciwko Polakom i grożą polonizacyą germańskich żywiołów na wschodzie, jest niezbędnym punktem programu. Drobne utarczki, do jakich tyle powodów dostarczają poznańskie stosunki, „Przegląd" pozostawia pismom codziennym. Walka z niemczyzną wyraża się raczej wyborem tematów, które omawiają przeważnie stosunki i utwory literackie polskie, i przeglądami prasy miejscowej polskiej, która wobec niemieckiej zajmuje tak często miejsce

*) Nasza redakcya dała tylko inicyatywę zebrania i ułożyła rezolucye, — samem zwołaniem zebrania zajęła się redakcya „Gońca Wielk.", którego zwolennicy poparli usiłowania nasze. (Przyp. Red.).

Kopciuszka. Wybitną jest również dążność do obrazowania życia innych narodów i narodków słowiańskich, przejawia się ona w bardzo umiejętnie prowadzonych przeglądach prasy słowiańskiej, z których wyłącza się prasę rosyjską. Oddzielne artykuły dłuższe poświęcono stosunkom Czech i Rusinów galicyjskich. Sprawy śląskie, galicyjskie, kroniki z Królestwa, zajmują zawsze bardzo poczesne miejsce. Nie można więc zaprzeczyć, iż „Przegląd“ świadomie i wyraźnie dąży do objęcia kulturalnego życia wszystkich zaborów Polski, i że chce je przedstawić na tle ogólno-słowiańskiego życia kulturalnego i literackiego, wykazując w ten sposób, że są inne źródła wiedzy, myśli i sztuki oprócz zachodnio-europejskich. A dla masy czytelników, obojętnych dotąd dla życia umysłowego wogóle, a tem mniej dbałych o zachowanie jego cech swojskich, narodowościowych, jest to niewątpliwie względem pierwszorzędnym.

Walka ze szlachetczyzną, zastojem, obojętnością, niekiedy nawet wadami społeczeństwa poznańskiego, zapełniać musi niestety wiele szpalt. Tu jednak trzeba postępować ostrożnie. Sprawy religijne naprzykład tak ważną na poznańskim gruncie stanowią kategoryą, że walka z dogmatem pomijaną być musi, jakkolwiekby największa swoboda przekonań leżała w tendencyi pisma. Zresztą minęły już czasy religijnego racyonalizmu, przekonano się, że religijność, to często zakątek duszy, do którego chronią się szlachetniejsze aspiracye, że tępić ich nie można, nie postawiwszy na to miejsce fundamentu wiedzy, czy filozofii. Krytyka literacka i filozoficzne artykuły wypowiadają przeto owe liberalne poglądy, którem np. przed lat dziesiątkiem „Prawda“ zdobywała umysły warszawskie.

Naturalnie, że młoda i mało zamożna redakcya zależną jest nieraz od tego, co się na redakcyjnem biurku znajdzie, temu też przypisać należy brak artykułów treści społecznej, które przecież bardzo ważnym czynnikiem byłyby w oddziaływaniu na czytelników.

Z prac większych drukował dotąd „Przegląd“ Asnyka „Przed jutrem“. (Powitanie nowego roku), studyum Piotra Chmielowskiego „Fazy twórczości Asnyka“, Cezarego Jellenty „Prywatne stosunki z muzą“, Wł. Rabskiego „Studyum o Hauptmanie“, L. Wasilewskiego dwa studya „Stosunki partyjne Czech i literackie Rusi Halickiej“ i kilka innych.

Dział powieściowy „Przeglądu“ wypełniają najczęściej przekłady utworów nowszych słowiańskich lub skandynawskich, z oryginalnych drukowano piękną powieść Żeromskiego „Mogiła“, omawiany już dramat Wład. Rabskiego „Zwyciężony“, drobne, a pełne uczucia nowelki Zeisingerówny i inne pomniejsze.

Widzimy tedy, że pismo potrafiło sobie zjednać liczne siły literackie, wiele ono przecież traci przez brak sił miejscowych.

Ostatnim poświęćmy słów kilka, gdyż one to właśnie stanowią rdzeń owej grupy postępowej, od której spodziewamy się stworzenia szerokiego umysłowego ruchu na narodowym gruncie.

Zacząć musimy od redaktora. Pan dr. Władysław Rabski, jak mówiliśmy wyżej, utalentowany pisarz dramatyczny, jest również świetnym mówcą i bardzo zdolnym, choć może mało jeszcze wyrobionym publicystą. Jego artykuły wstępne są mniej udatne, aniżeli feljetony. Te ostatnie, ukazujące się co tydzień pod tytułem „*Na wyłomie*“ zjednać z czasem powinny „Przeglądowi“ szeroką poczytność. Talenty feljetonowe należą bodaj do najrzadszych. W Galicyi n. p. nikt dotąd nie potrafi zastąpić Lama, Warszawa od lat wielu posiada trzech feljetonistów, do których nie przybywa żaden nowy talent. „Na wyłomie“ nie dorównywa jeszcze swobodnemu humorowi Prusa, nie przemawia lapidarnym językiem Posła Prawdy („Prawda“), nie skrzy się dowcipem, jak „*Bez obłudy*“ Maryana Bohusza („Głos“), ale jego młody autor porusza zwykle sprawy żywotne, czyniąc to śmiało, bezwzględnie, dowcipnie i trafnie. W każdym feljetonie niemal znać postęp; język coraz barwniejszy, strzały padają celnie, dowcip niewymuszony i swobodny daje nadzieję, że przybywa nam czwarta feljetonowa siła, która stanie wkrótce obok trzech wymienionych.

Uzdolnienie dr. Wł. Rabskiego nosi na sobie tak wybitne piętno literackiego współczesnego talentu, który więcej obrazuje niż pogłębia, częściej przejawia subtelność i trafność, niż siłę, który zawsze jest człowiekiem chwili, gotowym do odparowania ciosów przeciwnika, a chyba w bardzo rzadkich momentach filozofem, że nadaje on się wybornie na kierownika pisma, które właśnie chwilę odtwarzać i na jej korzyść oddziaływać powinno. Miejmy też nadzieję, że pismo w Księstwie trwale się utrzyma.

Drugą bardzo dodatnią siłą jest pan dr. Szuman, który rozpocząwszy od broszury o społeczeństwie poznańskiem, daje głównie artykuły, zawierające krytykę stosunków lokalnych. Artykuły jego, zarówno jak i owa większa praca, posiadają dużo siły, język dźwięczny głębokiem przekonaniem, jakkolwiek brak mu jasno określonego stanowiska, z którego krytykowałby zasady. Smaga więc objawy nepotyzmu, zaściankowości, zastoju, intrygi, karyerowiczostwo, apatyą, ale nie stawia żądań pozytywnych, które zgrupowaćby mogły dokoła siebie stronnictwo polityczne, a szkoda, bo jak się zdaje, dr. S. najśmielszym i najwięcej bezwzględnym byłby tu człowiekiem; takich w Poznaniu mało. Bardzo dzielną publicystyczną siłą jest p. Iza Moszczeńska. znana głównie z pedagogicznych rozprawek, drukowanych w warszawskim „Przeglądzie“. Artykuły jej, przejęte postępową myślą, śmiałe, barwnym pisane stylem, różnostronne, czynią z niej niezmiernie użyteczną publicystkę, która w każdem piśmie byłaby pożądaną. Dokoła tej drobnej grupy wyrabiają się młode talenty, jak Rapacki, Jarogniew i inni, dla których istnienie organu zgodne z ich dążnościami wypowiadającego poglądy, jest bodźcem i zachętą do pracy.

Należałoby na zakończenie powiedzieć jeszcze słów parę o rezultatach pracy „młodej Polski“, o stopniowem zwiększaniu się choćby liczby abonentów pisma. Krótki czas istnienia „Przeglądu“ jest może przyczyną, z powodu której jest ona dotąd niewielką, ale wszelki postęp idzie powoli i powolnością tą zrażać się nie można. Zresztą i działalność „młodej Polski“ nie objęła dotąd szerokiego koła, a więc niema tu odczytów o kwestyach żywotnych, które ściągałyby tłumy publiczności, a dla wypowiadania których i zamiejscowe siły przyciągnąćby łatwo, brak szerszej i wyraźnej agitacyi politycznej, która pomnaża zastęp wrogów, lecz jednocześnie i przyjaciół. Miejmy nadzieję, że się to wszystko z czasem znajdzie, że obok pisma ukaże się szereg wydawnictw, a obok polityki i działalności „vom Fall zu Fall“ stanie wyraźnie określony program i pojawi się śmiała walka z zastojem i z biernością społeczeństwa poznańskiego“.

S. Z. Dański.

NA WYŁOMIE.

(Galicyjscy goście. — Jakie wrażenia ich czekają? — Pozory mylą. — Potrzeba dokładnych informacyi. — Apel do młodszej inteligencyi).

Galicya zatem rewizytuje Poznań. Jutro powitamy ją na dworcu poznańskim w streszczeniu stugłowej reprezentacyi wszystkich stanów, — powitamy ją bez tryumfalnych owacyi, któremi Lwów rozbrzmiewał w roku wystawowym, — powitamy ją tak, jak wita żołnierz na szańcach, otoczonych armią milionową.

Jakie ci galicyjscy goście z Poznania wywiozą wrażenie, — trudno się łudzić. Wystawa nosi wybitne piętno niemieckości, — miasto z tłumem urzędników, kupców, oficerów, profesorów niemieckich, z siecią szyldów, tablic, plakatów niepolskich, z pruskiemi orłami i pomnikami, wywiera na przelotnych widzów wrażenie germańskiego potopu, z którego zaledwie arka polskości żywa wypłynęła, — a my? a duchowa fizyonomia społeczeństwa polskiego? Mówił mi niegdyś jeden z publicystów zakordonowych, że o ile studya nad ludem naszym do najpomyślniejszych uprawniają wniosków, o tyle inteligencya poznańska wywiera wrażenie — „z g a s z o n y c h...“

Miasto zniemczone! Nie, ale pokost niemieckości pruskim pędzlem nałożono rynkom i ulicom, ale zepchnięto nas z wyżyn społecznych importem obcej inteligencyi i w takim kostyumie germańskim pokazują nas światu. Nas te świecidła niemieckie nie łudzą, my wiemy, że na poddaszach, w podwórzach, na przedmieściach żyją tysiące polskich mrówek roboczych, wiemy, że w miarę tłumienia polskich świateł na społecznych szczytach rosną światła narodowe w nizinach, wiemy, że nie udało się Prusom zdusić życia naszego, tylko punkt ciężkości przesunąć, — ale na dwudniowych gości niemiecki pokost zwykle przygnębiające wywiera wrażenie. Pytałem nieraz wędrowne ptaki o uczucia wyniesione z Poznania. Mówiono mi: „Jest źle. To niemieckie miasto“. A wczoraj jeszcze podobny okrzyk odbił się o uszy moje. Jeden z literatów i turystów polskich w przejeździe przez Poznań odwiedził redakcyę.

— Pokażcie mi miasto.

— Dobrze! — Idziemy.

Na Zielonym placu garść dzieci polskich igrała wesoło. Dziecięca swoboda, rumiane policzki i oczy roziskrzone radością mają swój urok oryginalny, który melancholika nawet rozchmurzyć może. Siadamy zatem na ławce, łowiąc uchem melodyę śmiechów i szczebiotów, — gdy nagle tańcząca gromadka ozwała się chórem niemieckiej piosenki.

Uśmiechnięty mój towarzysz spoważniał. Chwilę wsłuchiwał się zadumany w te cudze dźwięki i rzekł głosem zirytowanym:

— Już dzisiaj drugi raz słyszę niemieckie śpiewy w ustach dzieci polskich. Snać galopuje germanizacya, — lat 50 jeszcze i po was.

Mówiłem mu, że to produkt mechanicznej nauki szkolnej, która germanizuje pamięć, lecz serc naszych dzieci jeszcze nie zniemczyła. Mówiłem dalej, że niemieckość pochłania nas wprawdzie w kierunku ekonomicznym, że może zamienić nas w naród nędzarzy, ale patryotyzmu nie zdusiła i zdusić nie zdoła, — on jednak powtarzał uporczywie: „Źle z wami“. Nie znał życia naszego, nie badał prądów, nurtujących społeczeństwo, nie mierzył intenzywności światła i temperatury narodowej w szerokich warstwach ludowych, więc ten jeden w przelocie uchwycony szczegół stał się dla niego wrażeniem silnem i uczuciowo decydującem.

Jeszcze dziwniejszych złudzeń ofiarą stają się goście poznańscy w dziedzinie wewnętrznych politycznych stosunków. Wyjaśniłem niegdyś w dłuższym artykule, ile to fałszywych wieści o naszych starciach koteryjnych, naszych instytucyach i działaczach publicznych roznoszą po świecie korespondenci poznańscy do pism galicyjskich. Jedni urabiają opinię w duchu „K u r y e r o w y m“, inni w „D z i e n n i k o w y m“, a Galicya, spoglądająca na nas przez pryzmat takich doniesień, nabiera najfałszywszych wyobrażeń o przyczynach zamieszek naszych, o rozmiarach i celach opozycyi, o przedstawicielach wyklętych obozów. A skoro bratnie drużyny przybywają do nas w gościnę, otacza ich zwykle kordon straży bezpieczeństwa, wysłany przez poznańskich królików, i znowu widzą „Kuryera“, widzą „Dzienik“ stary, znowu słyszą oklepane piosenki, że „w państwie Duńczyków nic się nie popsuło“, lub że „kilku ambitnych warchołów“ i „garść duchem żydowskim przejętych Masonów“ stara się bezskutecznie zarazę roznosić po kraju. Nic więcej. Przytem wypija się kilkadziesiąt omszałych gąsiorków, woła na całe gardło „Kochajmy się“, wznosi toasty na cześć luminarzy miejskich i znowu idzie poczta do Galicyi, że Poznań to raj prawdziwy, w którym jest wprawdzie więcej jak jeden Allah i jeden Mahomet, ale wszyscy z tej samej ulepieni gliny. Niewierni zaś — to nieczyste duchy.

Czyżby jutrzejszych przybyszów galicyjskich czekały te same iluzye? To od naszej

zabiegliwości a w części i od nich samych zależy. Jeżeli pozbędziemy się fałszywej skromności wobec stereotypowych opiekunów wszelkich kongresów i wycieczek, jeżeli weźmiemy rozbrat z dotychczasową apatyą i zajmiemy się szczerze gośćmi naszemi, prostując mylne opinie, odsłaniając kurtyny życia naszego, cytując to wszystko, o czem milczą korespondenci galicyjskich czasopism, to tem samem sparaliżujemy wpływ jednostronny rozmaitych telefonów dziennikarskich i podszepty tych, którzyby stu przybyszów galicyjskich zamienić chcieli w stu wyznawców własnego kościoła i stu głosicieli własnej nieomylności. Z drugiej strony gościom naszym zalecamy szukanie ludzi różnych obozów i pogoń za informacyami, a na pamiątkę radzimy zabrać garść tych pism i pisemek poznańskich, których w lwowskich i krakowskich kawiarniach nie znajdą, a które odsłonią im nieznane i niekiedy nader interesujące strony życia naszego. My jesteśmy ciekawem społeczeństwem, — trzeba jednak zajrzeć w głębiny, targnąć kulisami i słuchać nietylko głosu trąb Jerychońskich, lecz także skromniejszych piszczałek, aby znaleść temat do poważnych refleksyi, krwawej satyry Juvenala, lub spokojnej ironii Horaza.

Nie łudzę się oczywiście nadzieją, że dwudniowy pobyt galicyjskich gości, zajętych zwiedzaniem miasta i wystawy, może wpłynąć rewolucyjnie na zmianę opinii, — ale ponieważ wycieczka jutrzejsza nie jest prawdopodobnie ostatnią, ponieważ i w następnych latach przy okazyi zjazdów i kongresów witać będziemy galicyjskich gości, więc garść tych uwag stanie się może dla młodszej inteligencyi pobudką, aby w tym kierunku stale pracowała. Niejeden z druhów bratniej dzielnicy zainteresuje się odmiennem od korespondentów poznańskich poglądem, niejeden zapragnie bliżej rozpatrzeć się w ciekawej ewolucyi społecznej, rozgrywającej się w latach ostatnich, i wątek raz uchwycony śledzić będzie w tych mniejszych formatem ale wpływowych organach, których nieomal wcale nie widuje Galicya. Wiadomo mi, że pobyt Poznańczyków na wystawie lwowskiej podobny uwieńczył rezultat. Znam kilku ludzi śledzących od roku nader pilnie rozwój sprawy demokratycznej na gruncie galicyjskim, znam ludzi domagających się natarczywie w cukierniach „Kuryera lwowskiego“ i abonujących stale „Przyjaciela ludu“ (Lwów). Nas otwartemi witano rękami i ciceronowano nam nietylko w pawilonach wystawy, lecz z równą gotowością w krużgankach politycznych stosunków. Podążmy zatem galicyjskim śladem. Bądźmy nietylko Baedekerami Poznania, lecz otwartą księgą życia społecznego.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

W nr. 27 lipskiego czasopisma „Internationale Litteraturbriefe“ znajduje się obszerny artykuł znanego krytyka i tłomacza utworów polskich, Henryka Nitschmana, p. t. „Litterarische Streifzüge nach Polen“. Autor podnosi z uznaniem utwory Rodziewiczówny, Kowerskiej, Sienkiewicza, Dąbrowskiego, Tetmajera, Rabskiego, Sewera, Dygasińskiego, Kasprowicza, Sarneckiego, Zglińskiego, Chmielowskiego, Gawalewicza, Zagórskiego i kilku innych.

* * *

Wojciech Gerson. Znawstwo prawdziwe i rzekome w malarstwie. Warszawa 1895.

W dziedzinie naszej literatury estetycznej tak rzadko spotykamy utwór poważniejszy i dokładną znajomością rzeczy podyktowany, że pojawienie się na tem polu, choćby tylko maleńkiej, lecz głębszą myślą przejętej broszury, witamy jako „zdarzenie“ w piśmiennictwie. Takim utworem jest bez wątpienia książka Wojciecha Gersona p. t. „Znawstwo prawdziwe i rzekome w malarstwie“. Na 30 stronnicach rozsuto w tej broszurze tyle trafnych poglądów na charakter wpływów działających w malarstwie, na tworzenie i pojęcie „szkoły“, na krytycyzm artystyczny, na rozliczne sposoby sądzenia przedmiotów sztuki, na prawidła twórczości, na istotę piękna i prawdy w malarstwie, na różnice prawdziwego znawstwa i entuzyastycznego dyletantyzmu lub jednostronnych uprzedzeń, że rozprawie Gersona należy się więcej niż kronikarska notatka. To też poświęcimy jej dłuższą i głębszą ocenę, — dziś tylko zapisujemy, że znakomity estetyk ubrał studyum swoje w formę przystępną a lśniącą i przemawia do nas językiem zapału i wielkiej miłości dla sztuki.

* * *

Znany warszawski tygodnik literacko-społeczno-polityczny „Głos“, który przed mniej więcej rokiem władze rosyjskie zamknęły, zacznie znowu wychodzić z dniem 1 października r. b. Redaktorem i wydawcą jest p. Tadeusz Strzembosz.

* * *

Polacy a prasa francuzka. Nie mija tydzień, by które z wielkich pism paryzkich nie umieściło artykułu, omawiającego nasze stosunki i objawy umysłowego ruchu. Przedewszystkiem ruchliwa „Revue des Revues“, odgadująca jutrzejsze upodobania swych czytelników, drukuje tłómaczenie Sienkiewicza i studyum o literaturze polskiej p. A. Krzyżanowskiej: „Figaro“ zamieszcza obszerny feljeton p. Poradowskiej „Vers Lemberg“, opiewający nieco Tissotowskim sposobem nadzwyczajne dziwy, które oglądać można, puściwszy się w dalekie te kraje, ale dowodzący, że autorka wyniosła z podróży swej wrażenie nader korzystne; „Correspondant“ podaje dziennik Fr. Krasińskiej, w tłómaczeniu baronowej Baulny, z czego biorą pohop „Debaty“, by podać charakterystykę autorki „Pamiętnika“ i polskiej kobiety wogóle; i znów „Figaro“ zapowiada mające się pojawić niebawem tłómaczenie „Połanieckich“ a w ślad za tą wiadomością umieszcza artykuł hr. Rzewuskiego o Sienkiewiczu, z którego szeroka publiczność francuzka dowiaduje się po raz pierwszy, jakiej miary pisarzem pochlubić się może współczesna nasza literatura.

* * *

Koleżeńska przysługa. Słynny powieściopisarz francuski Paweł Bourget wygłosił niezwykle zajmującą mowę w Akademii francuskiej w dniu oficyalnego swego wstąpienia w grono czterdziestu „nieśmiertelnych“.

Podług ceremoniału, przyjętego w Akademii, po mowie świeżo przyjętego kolegi przemawiał jeden z dawnych członków. Tym wydelegowanym był M. de Vogué, który nie bez ironii wychwalał utwory literackie Pawła Bourgeta, stawiając go wyżej, jako poetę, aniżeli jako psychologa. Do jakiej kategoryi powieściopisarzy mam zaliczyć Pawła Bourgeta? — pyta sam siebie de Vogué — Niewiem. Czyż jest on realistą?... Lecz naturaliści jednozgodnie temu zaprzeczą. Czyż jest idealistą?... Chyba nie, albowiem w każdej książce, w każdym opisie, czy to karczmy, czy kopalni, przez Emila Zolę, jest więcej idealizmu, aniżeli w buduarowych scenach, przepełniających powieści Pawła Bourgeta... Zaliczyć je chyba należy do gatunku utworów sentymentalnych... Lecz i tego pewien nie jestem! Cruelle énigme!...“ Na tych dwóch słowach, wyrzeczonych dwuznacznie, bo będących zarazem tytułem jednej z licznych powieści Pawła Bourgeta, mówca położył nacisk dość złośliwy i powtórzył je z komentarzem, iż to szczęśliwie stworzone wyrażenie jest w wielu razach przydatne i najniezawodniej ma przed sobą zapewnioną „nieśmiertelność“, albowiem zasługuje wejść w skład popularnych orzeczeń, dzięki swej uludnej głębokości.

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne.** Stambułow zginął z ręki morderców 18 lipca b. r. — Cesarz niemiecki wybiera się do Rzymu. Dzienniki niemieckie przypisują tej podróży doniosłe polityczne znaczenie, wyrażając przypuszczenie, że chodzi tu o utrwalenie trójprzymierza. — Socyalistyczna komisya rolnicza ogłosiła już swój program i rezolucye, które na przyszłym zjeździe w Wrocławiu pójdą pod obrady. Program jest dość obszerny i obejmuje wielką liczbę punktów, z których podajemy tylko ważniejsze. Żądają zatem socyaliści zniesienia wszystkich przywilejów, przywiązanych do gruntu, a więc fideikomisów, patronatów i t. d., utrzymania i powiększenia publicznych gruntów i stawienia zarząd ich pod kontrolę reprezentacyi narodu; dalej, aby na gruntach państwowych rząd gospodarzył na własną rękę, lub wydzierżawiał je stowarzyszeniom włościan lub robotników wiejskich; aby udzielano kredytu państwowego stowarzyszeniom lub gminom na melioracye i t. d., aby państwo ponosiło koszta budowy dróg bitych i wodnych, aby upaństwowiono stowarzyszenia zabezpieczenia od ognia, gradu i t. d., aby państwo popierało osoby i gminy, dotknięte nieszczęściem, powodzią, gradem i t. p. Dalej żąda komisya zniesienia wszelkich podatków realnych, zakładania szkół uzupełniających i fachowych i obrony prawnej dla wszystkich robotników wiejskich. — Polski komitet wyborczy miasta Poznania ogłosił odezwę, wzywającą, aby przed wyborami komunalnemi każdy wyborca przekonał się dokładnie, czy nazwisko jego zapisane jest w listach. Listy wyłożone są w biurze podatkowem i przeglądać je można w godzinach biurowych. — Otrzymujemy dwie odezwy następujące:

I Odezwa.

Rodacy! Z powodu zlotu „Sokołów“ w Bydgoszczy w dniu 3 i 4 sierpnia 1895 r. odzywamy się niżej podpisani do Was, abyście, tak jak się to dzieje po innych grodach Księstwa naszego, byli łaskawi otworzyć drzwi domów Waszych, w celu przyjęcia „Sokołów“ na kwatery. Komuby było niedogodnem przyjąć druha na kwaterę, ten niech raczy złożyć choćby najmniejszy datek, aby przybyłych gości można odpowiednio umieścić. Jesteśmy przekonani, że obywatelstwo miasta naszego, znane z gościnności, i tym razem nie poskąpi swej ofiarności i przyczyni się do przyjęcia tak godnego gościa. Zgłoszenia i datki przyjmuje niżej podpisany wydział kwaterunkowy.

Witecki, ul. Szwecka nr. 5. Wierzchaczewski, Waidmannsruh. K. Figurski, kupiec, ulica Gdańska 71. Figurski, ogrodowy, ul. Zamkowa 10. Gałecki F., Schleusenau nr. 17. Sosnowski, ul. Dworcowa 81. Borsychowski, Wörthstrasse nr. 5. Tomaszewski, ul. Fryderykowska 32.

Bydgoszcz, 13 lipca 1895.

II Odezwa.

We wycieczce Galicyan do Poznania wezmą udział także i panie. Wobec tego, że wiadomość ta ogłoszona jest tak późno, iż nie pozostaje dość czasu na to, aby cały ogół pań poznańskich wspólnie się porozumiał co do współuczestnictwa w przyjęciu tych miłych nam gości, wydział „Czytelni dla Kobiet“ zanosi uprzejmą prośbę, ażeby panie nasze wzięły udział w serdecznem przyjęciu sióstr z Galicyi. Zamierzamy stawić się jak najliczniej na dworcu w niedzielę o godzinie pół do dziesiątej, a następnie towarzyszyć przybyłym Galicyankom we wycieczkach i zabawach przez program odnośnego komitetu oznaczonych.

Wydział „Czytelni dla Kobiet“ w Poznaniu.

*** Teatr i muzyka.** Artyści poznańscy wrócili z prowincyi do miasta naszego, aby w dniu przybycia gości galicyjskich odegrać czteroaktową komedyę „Kraj“. — Helena Modrzejewska ukończyła występy swoje na scenie lwowskiej i udaje się do Ameryki. — Słynna sztuka Halbego p. t. "Die Jugend" zyskała w niemieckim teatrze w Pradze wielkie powodzenie. — Znany publiczności poznańskiej artysta krakowski pan Siemaszko wystąpi gościnnie na warszawskiej scenie. — Najbliższą premierą teatrzyku „Nowości“ w Warszawie będzie farsa z angielskiego p. t. „Niobe“. — „Cyganerya“ Murgera w przeróbce K. Zalewskiego zyskała uznanie warszawskiej publiczności i krytyki. — Barcewicz wyjechał w towarzystwie śpiewaczki p. Dylewskiej na gościnne występy do wód galicyjskich.

Zmarli:

*** Zupitza**, prof. literatury i języka angielskiego przy uniwersytecie berlińskim, zm. 7 b. m rażony apopleksyą.

*** Stambułow**, najżarliwszy obrońca niezawisłości Bułgaryi, zm. 18 lipca b. r. w Zofii.

*** August Reichensperger**, znakomity szermierz katolicyzmu i swobód konstytucyjnych w Niemczech, zm. 16 lipca b. r.

*** Dr. Józef Stummer**, lekarz warszawski, autor licznych rozpraw z dziedziny medycyny, zm. 8 lipca b. r. w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Kr. Z prywatnej waśni sprawy publicznej robić nie możemy. Nie zamieścimy zatem listu nadesłanego.

Ks. proboszcz N. N. 30. Dziękujemy za słowa zachęty w bezustannej walce i zapewniamy, że przytoczone słowa św. Franciszka Salezego: „La vérité qui n'est pas charitable, procède d'une charité, qui n'est pas véritable“ są i pozostaną drogoskazem naszym. Twierdzeniu, że wiadome aspiracye hegemoniczne zrodziły się na poznańskim bruku wśród kilku reprezentantów młodszego duchowieństwa, lecz starszej generacyi obce są zupełnie, nie odmawiamy pewnej słuszności, lękamy się jednak, że Poznań stanie się rozsadnikiem tych dążeń.

Karolowi R. Dokładnych informacyi udzieli chętnie prof. Rakowicz, Poznań, ul. Bismarka.

Składki

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożono:

Za pośrednictwem p. H. D. ze Środy za używanie niemieckich wyrażeń w polskiej rozmowie 10 marek.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 531,20 m.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.